

# Odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI



Rok IV  
Łódź, 8. IX 63.  
Nr 36 (288)  
Cena - 1 zł.

PIOTR GOSZCZYŃSKI

## Dzień dobry MISIU!

Przed kilkoma laty jeden z moich berlińskich znajomych ofiarował mi maskotkę do samochodu - małego, pocieszego niedźwiadka. Od tej pory nie rozstaję się z misiem.

Na granicy wielkiego Berlina uśmiechnięty policjant przeprowadza kontrolę pojazdów mechanicznych, dostrzegłszy pocieszego niedźwiadka, mówi:

— Guten Tag Bärchen — dzień dobry Misiu!

Tuż za Erekner wjeżdżającego do Berlina wita plakat z niedźwiadkiem - herb Berlina i napis: „Berlin Cię wita”. Przeczytawszy więc pozdrowienie odpowiadam słowami policjanta:

— Dzień dobry Misiu!

Na Wardestrasse przed gmachem KC SED w potokach fontanny pławi się cała rodzina misiów - niedźwiadka wraz z 8-osobowym „przychówkiem”. Fontanna-pomnik znów zdobi miasto. Zbudowana w 1928 roku, zniszczona w czasie działań wojennych, po latach rozłąki z Berlinem powróciła na swe dawne miejsce. Przed fontanną zatrzymują się często samochody z różnymi znakami rejestracyjnymi - „B” - Belgia, „CS” - Czechosłowacja, „PL” - Polska, „S” - Szwecja, zresztą kto by tam zliczył zagraniczne samochody. Goście, zwiedzający Berlin kierują obiektywami aparatów fotograficznych w stronę niedźwiadziej rodzi-



Dalszy ciąg na str. 4



CZEKAJĄ Z NIECIERPLIWOCIĄ NA „ODGŁOSY” żeby przeczytać m. in.:

- ★ UWAGA! MEPROBAMAT!
- ★ EKSPERYMENTY I RZECZYWISTOŚĆ
- ★ ZDROWIE — PRAWDA — LEGENDA
- ★ WRZESIEŃ
- ★ SZKOŁA I ŚMIERĆ

Rozważania o kulturze masowej

JAN HUSZCZA

# UWAGA, meprobamam!

O kulturze masowej można dyskutować bez trudu i zawile, gdyż jej pojęcie, jej istota wymyka się dokładniejszej definicjom. W dodatku, nie wiemy, co jej pewne przejawy wywołują w poszczególnych odbiorcach? Tedy każdemu, zabierającemu głos, da się przyznać jakąś rację.

Ma ją więc na łamach „Odgłosów” W. Jażdżyński, gdy mówi o modzie, ma ją J. Koprowski, przypominający podział kultury na masową, ludową i elitarną. Będą mieli ją i inni, zabierający głos na ten temat; w konkretnych zaś przypadkach będziemy prawie zawsze świadkami rozmaitych nieporozumień i kontrowersji.

Kultura masowa stwarza swoistą mitologię, swoich bohaterów. Rzecz ciekawa, że na ogół przychodzi ona do nas raczej z Zachodu w postaci mody na aktorów, na taniec, nawet na pisarzy (Saganka!), rzadko udaje się nam stworzyć modę własną, jak np. na Zb. Cybulskiego w swoim czasie albo ostatnio na utalentowanego Joe Alexa, który nie poprzestał na książkach, ale ze skutkiem - prawdopodobnie na jakiś czas, bo mody nie żyją zbyt długo - opowiada film. W prasie natomiast mamy dużo komiksów, ale najbardziej znane były jednak osnute wokół bohaterów importowanych.

Kulturą masową nazwijmy te zjawiska, które bez wysiłku wewnętrznego przyswajają szerokie kręgi odbiorców. W do datku zjawiska, które zatrzymują tych odbiorców w określonym kręgu, nie dając szansy na awans kulturalny, nie powodując nawet pozorów głębszego zdarzenia w psychice i nie budząc innych potrzeb. Nie ludźmy się, drogi Janie Koprowski! Tysiące odbiorców „Kobry” i meczów piłki nożnej na tym właśnie poprzestają. Zmieniać się będą jedynie nazwy cyklów widowiskowych, składy drużyn piłkarskich, perypetie Matysiaków, adaptacje teatralne „Wiernej rzeki”...

Zauważ, kotku, że tysiące posiadaczy tranzystorowych odbiorników radiowych nie nauczyło się nawet tyle, że nie wolno zakłócać spokoju przypadkowym sąsiadom, garnącym się ku ciszy leśnej czy jeziornej. Wielbiciele piosenek stanowią olbrzymią rzeszę, złożoną z katolików i ateistów, a sami nie potrafili poprawnie zaśpiewać „Kiedy ranne wstają zorze” czy „Pię Kuba do Jakuba”, z drugiej zaś strony przysięgli bywalcy filharmonii nie wiedzą nawet, że od 1955 roku jest do nabycia arcyciekawa korespondencja Szopena. Tak to wiązałbym więc zagadnienia kultury masowej ściśle ze sposobami i rezultatami jej przyswajania.

Myszę, że za świadomych odbiorców radia i telewizji mogą w pierwszym rzędzie uchodzić nabywcy tygodnika „Radio i Telewizja”. Kto ma dostęp do informacji i leżebowej, niech zestawia nakład tego tygodnika z ilością abonentów radio-teleaparatu! Dysproporcja okaże się wstrząsająca!

Czytelnik aktywnej literatury pięknej zaczyna się od momentu, gdy mu powieść danego pisarza nie wystarcza, gdy

Dalszy ciąg na str. 6

Kto leży na ziemi? Zamachowcy, wyrotowcy, faszyci, którzy nawołują do nienawiści rasowej i narodowej? Niel Studenci zachodniobierlińskiego „Wolnego Uniwersytetu” pozwolili sobie zdyscyplinowanie zademonstrować przeciw temu, że ich senat święcił rocznicę rozpoczęcia krwawej dyktatury Franco w Hiszpanii. Wystarczyło to, aby ich pobić i zaarrestować

Zbyt długi impas LKS



Artykułem Wawrzyńca Cyła, wielokrotnego reprezentanta Polski i olimpijczyka, kontynuujemy dyskusję na temat drużyny piłki nożnej LKS.

W artykule pt. „Zbyt długi impas LKS” zamieszczonym w poczytnym tygodniku „Odgłosy” - poruszona została nareszcie sprawa, która od dłuższego czasu jest tematem rozmów i dociekań wśród mieszkańców Łodzi, którzy interesują się piłką nożną. Sprawa ta jest kompromitująca gra piłkarzy ligowej drużyny LKS.

Jestem starym członkiem ukochanego przeze mnie klubu, dawnym zawodnikiem i wieloletnim działaczem sportowym - nieobojętne więc mi są wyniki, sukcesy czy niepowodzenia jakie spotykają klub. Dlatego też - zachęcony wezwaniem do publicznej dyskusji przez Sz. Redakcję - chcę podać kilka uwag na ten temat. Obliguję mnie do tego ciągłe pytania - ba, nawet docinki znajomych, z którymi się stynam, a przecież oni są też zagorzalymi kibicami LKS i znają się na piłkarstwie.

Wydaje mi się, że zupełnie słusznie autor cytowanego na wstępie artykułu, bije na alarm, gdyż to co się celada na boisku LKS i słyszy jak gra drużyna na wyjazdach - może doprowadzić jedynie do spadku z I ligi piłkarskiej. Zdziwiał fakt, że pomimo widma degradacji, które wisi nad zespołem od kilku lat, niewiele, a raczej

prawie nic nie zrobiono ze strony władz klubowych, aby sytuację zmienić czy poprawić. Nie można bowiem uważać za wystarczające „zasilenie” drużyny kilkoma wprowadzonymi i to bardzo wątpliwej jakości piłkarzami z zespołów trzecioligowych czy A-klasowych. Nie będę tu cytował nazwisk, gdyż znane one są szerokiemu ogółowi sympatyków LKS. Zresztą większość tych nabytków okazała się przeciwnymi mierznotami piłkarskimi i trzeba było stosunkowo szybko zrezygnować z ich usług. Nie byłoby w tym nic złego, gdyby nie koszty na jakie naraził klub przy kontraktowaniu „sław prowincjonalnych” o - co tu dużo ukrywać - mizernych umiejętnościach piłkarskich. Nie wiem kto decydował o zdobywaniu zawodników, którzy mieli ratować sytuację. Wydaje się jednak, że nie czynili tego fachowcy. Trzeba bowiem wiedzieć, iż zawodnik wyróżniający się w meczach trzeciej ligi czy A klasy, w spotkaniach z czołówką krajową, staje się często bezradnym i niemrawym dzieckiem na ruchliwej ulicy...

Niezrozumiałe dla mnie jest również i to, że pomimo posiadania kilku trenerów oraz odpowiednich warunków materialnych dla zawodników - warunków o jakich dawnym piłkarzom nawet się nie śniło (wiem to z własnego doświadczenia) - wyszkolono tak znikomą ilość dobrych zawodników.

Czy w LKS brak młodzieży? Na pewno nie! Przecież w ubiegłym roku juniorzy zdobyli mistrzostwo Polski i byli często wyznaczeni przez władze PZPN do reprezentacji krajowej. Są w dyspozycji trenerów zawodnicy z III ligi i A klasy. Czyżby z tego okazałego zapasu nie można wybrać cenniejszych zawodników i wyszkolić ich technicznie tak da lece, by mogli grać w pierwszej lidze?

Jeżeli tak jest to zachodzą pytania: Co robili przez tyle lat trenerzy? Co robili i robi kierownictwo sekcji piłki nożnej? Dlaczego nie interweniował Zarząd Klubu we właściwym czasie, widząc niezadność trenerów i podległego sobie organu, jakim jest sekcja piłki nożnej? O to można mieć uzasadnione pretensje do kierownictwa klubu.

Aczkolwiek grałem 16 lat w pierwszej drużynie LKS i to podobno nie najgorzej ( W. Cył był tylko reprezentantem Łodzi ale i olimpijczykiem. Przyp. red.), przez wiele lat piastowałem godność kapitana związkowego ŁOZPN oraz byłem kierownikiem Sekcji Piłki Nożnej LKS - co pozwoliło mi dogłębnie poznać arkana gry w piłkę nożną - nie potrafię zrozumieć dlaczego i w jakim celu przeprowadza się od lat tak częste eksperymenty i różnorodnej zmiany w drużynie ligowej. Podstawowym warunkiem dobrej gry zespołu jest między innymi zgranie się za-

wodników. Czy może to nastąpić, jeśli będziemy stale dokonywać zmian? A przecież w LKS takie właśnie praktyki stosuje się na porządku dziennym od przeszło trzech lat.

Eksperymentuje się stale. Zmienia się zawodników, ich pozycje, wprowadza się nowy system gry. Na meczu z warszawską Legią te trzy kombinacje przeprowadzono za jednym zamachem. Pozmianiano zawodników, niektórym kazano grać na pozycjach, na których nigdy nie grali i chciano zastosować system brazylijski, i co z tej „potrójnej” kombinacji wyszło? Zawodnicy nie wiedzieli jak się mają ustawić, jak i z kim mają grać, nie nadszali za piłką - jednym słowem powstał chaos i balagan, a o zgranu się nie mogło być mowy w tych warunkach. Ten stan rzeczy bezlistnie wykorzystali przeciwni. Nowatorstwo jest rzeczą dobrą i pożądaną, należy jednak wpięć wypróbować na treningach i to przez dłuższy okres, a wprowadzać na meczach po całkowitym opanowaniu systemu. Nie mam pojęcia dlaczego tego nie chce zrozumieć Sekcja Piłkarska LKS i czemu nie zwraca nikt

Dalszy ciąg na str. 6





# ZDROWIE

*prawda -  
legenda*

## W NIEDZIELE NA ZDROWIE...

Motorniści ociera spocone czoło. Konduktor zapala zgniecionego papierosa. Chwila wytchnienia... Tłoczący się ludzie powoli opuszczają rozgrzany, tramwajowy wagon. Jesteśmy nareszcie na Zdrowiu w mecie niedzielnych, jednodniowych, wczasów mieszkańców naszego miasta. Dzwoniąc butelkami kompotu, jedni idą w prawo — na plażę, natryski, kajaki, drugich — wchłania nieskończona kolejka amatorów egzotycznych wrażeń, łódzkie ZOO.

Wszędzie unoszą się tumany rdzawego kurzu, pod nogami szeleszcza spalone słońcem, zeschnięte liście.

mocja. Powie o niebezpieczeństwach, walce, zdobywaniu. Ze właśnie tego wieczoru... Ale i w to ludzie już nie wierzą. Kiedyś? Owszem! Nawet jeszcze kilka lat temu. Ale teraz? Już nie ta koniunktura mówią cygańskie wieszczki.

Nikt się nie bije, rozwiązano „spółdzielnię” pana Mundka, spokojnie w Alei Róż, pusto na Polance Miłości. Nie słychać natrzących szeptów pracowników spółdzielni: „Kup pani parasoleczkę, a może dla pana bereczki? Taniej będzie, bo trefny. Kup kochasiu bo jak trzasnę?...”. Tak, tak panie dziejku — mówią starzy bywalcy niedzielnych zarobków na Zdrowiu. Czasy się zmieniły. Milicja nie lu-

dek byłby im bardzo wdzięczni, a i sam obiekt zyskałby na atrakcyjności. Także przykrym i zupełnie niezrozumiałym faktem jest sprzedaż wina i wódki w bufecie kapieli. Nie, nie. Oczywiście nie jest to sprzedaż otwarta, gdyż nad bufetem wiszą tabliczka: „W okresie letnim do dnia 31 września napoi alkoholem nie sprzedajemy”. Podaje się wino przez kratę, na zewnątrz, lub w niewinnych butelkach po oranżadzie. Czyżby nawrót do tradycji dawnej, prywatnej knajpy? A może upytanie zeszłorocznych, zimowych rezydentów?

Dopijam piwo i wychodzę. Promienie słońca oślepiają oczy i wędrują poniżej kolanierzyka koszuli. Jest bardzo gorąco, szeroka aleja wypełniona nagie, opalone ciała. Na wprost mnie startuje kędzierzawy „odrutowiec”. Zapomniał schować podwozia i teraz troskliwa mama ucieka wrzeszczącemu malca. Na pościeranych kolanach zbierają się kropelki krwi. Dochodzę do końca parku.

## LUDZIE ZA LASEM

Następna parafia — jak mówią miejscowi rozmówcy. Widać nieduże, drewniane domki. W którymś ogrodzie grzmia na całym regulatorze „Matysiakowie”. Sieć wąskich, szlakowanych i wybrukowanych uliczek. Tego nie znają już niedzielni wczasowicze. Tutaj „obcy” dociera bardzo rzadko. Bo też i po co? Zdrowie nie ma nic atrakcyjnego do zaoferowania. Niewielkie osiedle wegetuje sobie spokojnie od wielu lat. 1791 mieszkańców niechętnie dzielili się swoimi troskami z kimś z „zewnątrz”.

Zimą pielgrzymki mieszkańców ciągną do pracy. Śnieg zasypuje tramwajowe tory. Idą kilometr, dwa, trzy. Tyle lat... Zdażyli się już przyzwyczaić. Nie narzekają. Latem jest lepiej. W tym roku MPK sprawiło im nawet niespodziankę. Nową, piękną „9” puściło właśnie na ich Zdrowie. Fakt ten wymieniają mieszkańcy z niewątpliwą dumą. Przecież nam też się coś należy. Niektórzy, bardziej gorączkowi myślą już o zrealizowaniu wieloletnich marzeń budowy świetlicy lub maleńkiego klubu młodzieżowego. Ale to ci niepoprawni optymiści... Komitet Blokowy chodzi, pisze. Wybiera się delegację, śle prośbę, puka do odpowiednich instytucji. Nic. Cisza. Świetlice nie ma. A może ci mieszkańcy mają zbyt wygórowane ambicje. Mają przecież nową szkołę, poradnię lekarską, sklepy. Mają tyle lasu... Inni by się cieszyli, a oni nie tylko świetlice.

Nie, to nie jest niezdrowa ambicja. Ci ludzie mają rację. Dotąd miejscem spotkań młodzieży, ich klubem i świetlicą był właśnie ten park, który rego inni tak im zazdrościli. Mieszkańcy Zdrowia mają przykre doświadczenia. Trzeba nareszcie wyjść z tego lasu, skończyć z wylęgarnią młodocianych złodziejszków i chuliganów. Niech przyjeżdżający na niedzielny wypoczynek, nie będą narażeni na ciągłe groźby i zaczepki. Wyjść! Dobrze powiedziec. Ale gdzie?

Na sesji Prezydium Rady Narodowej w 1961 r. postanowiono przydzielić domek świetlicowy dla Zdrowia. Mieszkańcy w czynie społecznym oczyścili teren pod przyszłe zabudowanie, wkopali stopy, ogrodzili. Ciągłe czekają. Drzewa parku szumią cierpliwie, uspokajająco. Utało się już, że pracująca matka mówi przeskadzającej jej latorośli: „Idź synku do lasu, pobaw się”. A synek idzie. Najpierw łamie drzewka, łapie ptaszki. Później dostaje się pod edukację „starszych profesorów”. Pije wódkę, pali papierosy, kradnie.



Tam też, w gronie rutynowych fachowców poznaje anatomie ciała kobiecego. Normalna historia, ciągnąca się od lat. Etapy rekrutacji przyszłych bandziorów. Cóż z tego, że od dwóch

lat sytuacja uległa poprawie? Ze kilku odsiaduje kary, że przebywają w Domu Poprawczym, albo dostali kuratele społeczną? Rozwiązanie dobre, konieczne, ale w gruncie rzeczy doraźne. Rozwiązuje problem szybko ale na bardzo krótki okres czasu. A ci, którzy teraz dorastają? Co mają po piętnaście i szesnaście lat? Pograliby w ping-ponga, w piłkę, obejrzeliby telewizję. Ale gdzie? Ida do parku. Tam sobie porozrabiają. Tu jednak ciągła interwencja milicji odstraszyła nawet już tych najodważniejszych. Ale oni są twardzi. Grasują nadal. Zmienili tylko teren. Ostatni ich występ, to gwałt dokonany na 15-letniej dziewczynce.

Może rzeczywiście i na tę upragnioną świetlicę jest już za późno? Dzielnicy, Roman Mosinlak, dwoi się i troi, zorganizował posterunek ORMO, odwiedza podejrzane mieszkania. Ale nie jest jednak czarodziejem, ani iluzjonistą. Nie może być wszędzie obecny, nie wyleczy w ciągu miesiąca wileletniej choroby. Najważniejsze, że „dogadalem” się z mieszkańcami — jak sam mówi. Na nic nie jest za późno. Trzeba tylko wspólnie, przy pomocy wszystkich mieszkańców... Aż się nie chce wierzyć. Bo jeszcze trzy lata temu takie porozumienie wydawało się nieosiągalnym. „U nas? Na Zdrowiu? To niemożliwe, nie nie wyjdzie” — mówili ludzie. Tyle razy próbowaliśmy.

Mieszkańcy Zdrowia chcą przełamać złą passę, zapomnieć o przylepionej do ich osiedla złej tradycji. Zlikwidowano bimbrownię na ul. Zyndrama, nielegalną sprzedaż wódki na ul. Konstancyńskich, wykryto na ul. Tarnowskiej dom schadzek nieletnich. Z całego miasta się tu zjeżdżali. Chcieli napaść na dzielnicy, zabierać pistolet. Zbyt często

przeszkadzał w „zajęciach” meliny.

Ludzie na Zdrowiu są uparci. Postawili sprawę o twarcie. Musi być spokój i porządek. Matka radzą się dzielnicy, opiekunów społecznych. Co robić z córką, jak przetłumaczyć synowi, który mając 14 lat pije wódkę. Nie ma fałszywego wstydu, tolerowania chuligańskich wybryków, odpadają argumenty, że właśnie to zle towarzystwo itp. Przycichły historyczne, domowe kłótnie. Bo jak wychowywać młodych, kiedy samemu robi się takie rzeczy? Wstyd przecież. Zalatwia się codziennie palące sprawy i myśli o przyszłości dzielnicy. W ramach pracy społecznej posadzono drzewka na polu majerowskim. Za kilka lat będzie tu przyjemny laszek i własne, dzielnicy kapieli. Zeby tak jeszcze odpowiednia instytucja oświetliła kilka ciemnych ulic, wymieniła zniszczone tabliczki z ich nazwami — myślą mieszkańcy Zdrowia. No i te upragnione i z dawna uciekliwe światła. Może zanikną wtedy, nawet ci ostatni, smutni donkichotowie miejscowej lobuzerii?

Taka jest prawda niewielkiej dzielnicy za Parkiem Ludowym. Prawda, która wypiera wileletnią legendę. Mieszkańcy z nieufnością dzielą się swoimi troskami. Przyzwyczaili się liczyć na własne siły. Wieczorami pachnie tu maciejka. Na tie granatowego nieba, odcina się linia pobistkiego parku, który sprawiał tyle kłopotów mieszkańcom. Ale teraz jest dobrze. Młodzi pomalunku „wychodzą” z lasu... Zmudna i cierpliwa praca mieszkańców dała wynik! „U! Zdrowie, Zdrowie — rzekłby po takiej przechadzce nasz mądry, stary wieszcz Kochanowski — „Któż cię nie poznał, nigdy się nie dowie...”



„Za złoty, za złoty raz... Kto ma żonę kręci w jedną stronę, kto nie ma żony kręci w obie strony” — wrzeszcza właściciel kolorowych loterii. „Kto je lody nie choruje, niech też cięwa też spróbuje” — reklamuje obok konkurencyjna firma panów w białych kitlach. Niewiele tu widać, niewiele słychać. Kurz w oczach i ustach. Jaką przytulona para wieńczy swe podobny nieśmiertelnym zdjęciem: „Ku pamięci”. Królewskie labędzie pływają na rozpiętym, brudnym płótnie. Cyganka wróży z otwartej reki. Za jedyne pięć złotych polskich. Nigdy nie kłamie, jest nieomylna. „Przyjdzie wieczorową porą i przyniesie kwiaty...” — zaczyna normalną, codzienną kabałę. Czasami coś upiększy, żeby ludziom się nie nudziło. Zeby była e-

bi romantyzmu, a i społeczeństwo stało się takie prozajiczne. Nawet zakochane pary mają szerzej otwarte oczy. Nie można już buchnąć torbki z laweczki. A już uderzy kogoś? Nie daj Boże! Wyplata szybciotka. W trybie przyspieszonym lub doraźnym. Właśnie niedawno zaginął słuch o dwóch takich silnych. Czekają na rozliczenie w areszcie.

Tak się toczy kabała o romantycznym parku na Zdrowiu. O jego legendzie i mitach. O złym okresie, który na szczęście należy już do przeszłości. Teraz wieczorami nie straszą pijackie okrzyki z dawnego „Pieńka” czy „Grand Szopy”. Można spokojnie spacerować, siedzieć w naprawde romantycznych alejkach. Setki łodzian korzysta z plaży i kajaków Ośrodka Wodnego KS „Tramwajarz”. Szkoda tylko, że pozostaje niewykorzystany parkiet w ośrodku. Przyjemnie jest potaćzyć na świeżym powietrzu, nad samą wodą. A przecież jest nawet muszla dla orkiestry. Dlaczego gospodarze o tym nie myślą? Na pewno odwiedzający Ośro-



Zdjęcia: W. Biliński



# Męskie sprawy

Syta kryminalów, którymi tak obficie uczęstowała nas w tym sezonie CWF postawiłam wybrać się na coś poważniejszego. Jeszcze tylko krótka chwila wahań, czy zmarznąć w letnim kinie, czy spocząć się w zwykłym, i już oglądam angielski film pt. „Byłem Montgomerym” pokonujący jeden z autentycznych epizodów drugiej wojny światowej. Historia wojennego podstępstwa jest niewątpliwie ciekawa, główną rolę gra aktor, który brał udział w rzeczywistych wydarzeniach, będących kanwą filmu. Publiczność (składająca się w większości z mężczyzn) przyjmuje film z dużym zainteresowaniem, pomimo jego licznych braków; polska wersja dźwiękowa też niestety jest bardzo nudna. Mnie film się nie podobał. W ogóle nie mogę się przekonać do takich filmów, czy książek, gdzie jedyną i najważniejszą sprawą jest wojna i związane z nią różne „męskie sprawy”, a nie ma nic o rzeczach, które dla nas są najważniejsze. Większość kobiet oglądając filmy, na których umundurowani mężczyźni salutują sobie przelotnie, albo groźnie wymachują bronią, od razu traci ochotę na pójście do kina. Mówiła mi kiedyś przyjaciółka, że istnieje społeczne „męskie książki” traktujące o rzeczach, których kobiety nie znają, nie lubią i którymi nie potrafią się pasjonować.

Czas się zmienił i wbrew staremu przysłowiu „za mundurem panny sznurem”, dziś wołacy mają coraz mniejsze powodzenie u płci pięknej. Ale sek w tym, że nawet ci z panów, którzy kiedyś nie mieli na sobie munduru, a wojsko znała tylko z obrazków, wierzą w swe talenty wielkich strażców i ubóstwiają wielopodrodne rozważania na temat losów świata i narodów. Byłam kiedyś świadkiem, gdy dwaj sympatyczni i inteligentni młodzi inżynierowie późno w noc nicowali historię ubiegłej wojny i rzucali genialne plany i pomysły, z których jasno wynikało, że edytor to zależało od nich, wszystko potoczyłoby się inaczej, prosto, gładko i pomyślnie.

Słuchałam tych wywodów pełna szacunku dla ich znajomości problemu, istotnie sypali datami i faktami, które znam mało albo wcale — ale nudne to było bardzo, a wszystkie moje wszelki spróbowania tematu na coś bardziej interesującego spełzały na niczym. Oni widzieli się marszałkami i nie obchodziło ich nic prócz losów batalii. Oczywiście nie twierdzą, że jest to jedyny temat męskich rozmów. Rozmawiają również chętnie o turbogeneratorach lub o kurczących z miżerią.

Miałam kiedyś szefa, nieszkodliwego skądinąd człowieka, który umiętelnie nędpuszczony zapominał o dyscyplinie pracy i włączal do urzędowej pracy pracowników wielogodzinne prelekcje na temat roli dyplomacji w polityce. Ten dla odmiany czuł się wielkim dyplomata.

Nie znam kobiet, które czułyby takie namletności, chyba, że któreś imponuje Mata Hari, ale to już zupełnie inna sprawa. Mnie natomiast przeraża fakt, że wszyscy ci panowie, kryjący pod cywilnym garniturkiem generalskie zapęły entuzjazmuja się wojną dla samej sztuki zrecznego zabilania, bez względu na racje polityczną stron. W oglądanym przeze mnie wczoraj filmie jest moment, gdy Niemcy zabijają kolejno angielskich wartowników — młodziutkich chłopców. Każdemu trupowi towarzyszy głośny śmiech radości na widowni. Niemcy rzeczywiście spłują się bardzo zrzęcznie, ale trzeba się przeciwie trochę zastanowić, zanim wybuchą się śmiechem. Taka bezmyślność uczy okrucieństwa i bezwzględności. Pokpiwając sobie z nas starych, niemądrych kobietek, które boją się tych „męskich filmów i spraw” woła coś o miłość. Niejedna kobieta pożyczając książkę pyta, czy jest tam aby coś o kochaniu. Trudno, dla nas te sprawy są najważniejsze. Lubimy i chcemy oglądać filmy o miłości.

ALICJA



Najnowsze zdjęcie Zofii Loren

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

# „PAMIĘTNIK PANI HANKI”

Autor „Zimowego zmlerzchu” — filmu, który przed kilku laty wywołał wiele sprzecznych sądów i ostrych polemik, reż. Stanisław Lenartowicz zrealizował swój kolejny film, którego scenariusz oparł na fabule znanej powieści Dołęgi-Mostowicza „PAMIĘTNIK PANI HANKI”. Trudno oprzeć się porównywaniu filmu z jego pierwowzorem literackim. Pod tym względem od razu opowiemy się za filmem Lenartowicza, utworem bardziej dojrzałym i ciekawszym artystycznie niż powieść znanego pisarza okresu międzywojennego. Nie znaczy to, że do filmowego „Pamiętnika pani Hanki” nie można mieć zastrzeżeń i krytycznych uwag. Dotyczą one przede wszystkim konstrukcji scenariusza, który poprzez realistyczną prawie dokumentalną „ramę” września 1939 r. i groteskowo ironiczny „środek” jest chyba przegadany. Przegadanie w scenariuszu odbiło się oczywiście tym bardziej w gotowym filmie, który reżyser zbyt chyba „wycelebrował”. Odnosi się wrażenie, że Lenartowicz żał było każdego metra skręconej taśmy. Doszło więc w efekcie do tego, że aby na przykład przetransponować na język filmowy wiadomość o „złotej koperce”, która przez telefon Renowicki poleca opleść pani Hanki, trzeba było posłużyć się rozbudowanym epizodem, w którym najpierw jest zapowiedź telefonu, później wreszcie rozmowa telefoniczna po to, ażeby w następnej scenie zilustrować to samo już w konkretnej sytuacji filmowej. Takich zbędnych metrów taśmy jest w filmie Lenartowicza sporo. Gadulstwo, dość częste w tym filmie, osłabia poważnie tempo akcji, zubaża narrację filmową pozbawiając ją rytmu. Innym bardzo łatwo dostrzegalnym przykładem dziwnego rozlekania akcji są sceny wizyt pani Hanki u Tonnera; sceny, w których Lenartowicz nie tylko za dużo każę mówić bohaterom, co również przesadnie grać w sposób chyba dość daleki od przyfletych granic. Dotyczy to szczególnie postaci Tonnera, ukazanego jako welenie wszystkich demonów świata. Szkoda także, że nożyczkami nie posłużył się reżyser wraz z montażystą w epilogu filmu.

Na wstępie napisałem, że wyżej stawiam film Lenartowicza aniżeli literacki pierwowzór „Pamiętnika pani Hanki”. Tytułowa postać uzyskała boeazszy, bardziej zróżnicowany rysunek psychologiczny. Pani Hanka jest rzeczywiście, tak jak to założył sobie Lenartowicz przystępując do realizacji filmu — „portretem przedstawicielki górnych polskich „dziesięciu tysięcy” sanacyjnej Polski”. Jej postać spełnia „rolę soczewki, w której skupiają się wszystkie cechy jej środowiska”: środowiska rozkochanego w bliździe i rozmachu zbaaw i przyjeć, w lekkomyślności i ignorancji polityczno-społecznej. Pani Hanka — uwielbiająca w powieści Dołęgi-Mostowicza, erotyczną intrygę i przygodę, w filmie Lenartowicza jest kobietą lekkomyślną, ale także sprytną i krytyczną. Kobiecość, wdzięku i urody użyczyła tytułowej bohaterce filmu z dużym sukcesem Lucyna Winnicka, nienaganna w każdym ruchu, w noszeniu kostiumu, w grymasie i uśmiechu. Znakomita szczególnie w epizodach z Janem Machulskim w roli detektawy. Partnerem Winnickiej jest także sympatyczny, może aż za sympatyczny w tym filmie i za wytworny Andrzej Łapicki. O wiele gorzej, a nawet źle przedstawia się sprawa z odwórcą roli Roberta Tonnera — Ryszardem Płucinkim, który chyba przekroczył granice demonizowania i straszenia sympatycznej Winnickiej. To samo dotyczy gry dziwnie sztywnej w tym filmie Małgorzaty Lorentowicz w charakterze kobiety-szpiega. Niezłe sylwetki innych postaci stworzyli: dawno nieoglądana Teresa Szmigielówna, Irena Malkiewicz, Artur Młodnicki i Leon Niemczyk. Panoramiczne zdjęcia Antoniego Nurzyńskiego są jeszcze jednym sukcesem młodego utalentowanego operatora, dla którego „Pamiętnik pani Hanki” jest drugim kreowanym samodzielnie filmem fabularnym. Zastosowanie szerokiego ekranu w scenach zbiorowych nadaje filmowi Lenartowicza wiele dodatkowych walorów plastycznych.

Reasumując napisać można, że „Pamiętnik pani Hanki” w reżyserii Lenartowicza jest filmem, którego nie potrzeba się wstydzic i od czel i walry odsądzać jego autora, ale jest również filmem, w którym — niestety — trudno dopatrzyć się dalszego kroku w rozwoju twórczym niewątpliwie utalentowanego twórcy filmowego.

# EKRANIK

stwo, pojedynki, rozwód, miłość pozamałżeńską. Nie wolno również wyświetlać filmów o tematyce „walki rasowej i klasowej”. Cenzura otrzymała tak że prawo wstrzymania wyświetlania filmów atakujących kościół katolicki.

Nowy format taśmy filmowej 70 mm zdobywa niezmierne szybko ekrany Stanów Zjednoczonych, Związku Radzieckiego, Francji i Włoch. Obecnie we Francji istnieje 200 kin przeznaczonych do wyświetlania filmów na taśmie 70 mm. Z drugiej strony nowy rewelacyjny wynalazek Andre Derbie pozwala na wyświetlanie w największych salach, na największych ekranach filmów na taśmie 16 mm dzięki specjalnie taniej i wygodnej przystawce do zwykłych projektorów 35 mm.

Wytwórnie Columbia, Metro-Goldwyn-Mayer i 20th Century Fox zamierzają zbudować wspólny wysiłek z dala od Hollywood, w zatoce Malibu gigantyczne i supernowoczesne atelier filmowe, ażeby realizować tam filmy tańszym kosztem. Powodem opuszczenia Hollywood jest szepczenie lamtejszych atelier w stosunku do wymagań nowej techniki filmowej — Circaramy, Cineramy oraz coraz większy procent zamieszkania atmosfery Los Angeles.

Niedawno zakończony w Moskwie głośny proces szpiegowski Pleńkowskiego i Wynne'a jest tematem filmu „Znow na czarnym śladzie” realizowanego w Centralnej Wytwórni Filmów Dokumentalnych. Film będzie zawierał sporo interesującego materiału filmowego i fotograficznego demaskującego działalność szpiegowską pewnych akredytowanych w Moskwie dyplomatów i ich powłazania ze skazanym na śmierć Pleńkowskim.

Frankistowska Hiszpania poczyniła dalsze kroki w celu ograniczenia swobód artystycznej. W Dzienniku Urzędowym opublikowano nowe zarządzenie władz w dziedzinie uprawnień cenzury filmowej. Zakazane więc są filmy, które „usprawiedliwiają” samobój-



# Tydzień telerekordingu

W trakcie emisji niedyscyplinowana posadzka. Z powodu remontu też ostatnie wydanie magazynu „Muzyki łatwej, lekkiej i przyjemnej” emitowała Warszawa, korzystając z zapisu, kiepskiego zresztą technicznie. Kiepska była również i sama „Muzyka”. Nie wiem, czy będzie ona kontynuowana w nowym sezonie, jeżeli zaś tak, to wnoszę łaskawą prośbę do jej realizatorów: nie pokazujcie nam stale jednych i tych samych numerów! Bożena Grabowska popisuje się od dłuższego czasu wcale nie najlepszą piosenką „bossa-nową”. W „muzyce” Grabowska śpiewała ją już chyba trzy razy. Chyba przesada? Tym bardziej przesada, że Grabowska usiłuje nie tylko śpiewać „bossa-nowę”, lecz i tańczyć. (?) Ostatnim zaś razem zdemontowała nam serię nieskoordynowanych ruchów biodrami i innymi częściami ciała, co wyglądało wręcz niesmacznie. (Kto wreszcie zajmie się rytmicznym i ruchowym przygotowaniem naszych piosenek? Oglądając Dalidę zobaczyliśmy, że można nie tylko znakomicie śpiewać, lecz ponadto wdzięcznie się ruszać. A może wdziek to sztuka nie do osiągnięcia? Za dużo było w „Muzyce” Ireny Santor. — Śpiewa ładnie, to fakt, lecz także kwestia gustu; lecz w głąd na to, że Santor posiada patent na „Muzykę”. Prosimy o bardziej urozmaicony repertuar „Muzyki”, i o więcej dynamiki. Nie będzie źle, jeżeli „Muzyka” chociaż trochę się odmłodzi, bo zaczyna się wyraźnie starzeć, a — co gorzej — nużyć.

Ubole były w sezonie letnim programy publicystyczne, zabrakło tu programów z „pa zurem”, co prawda, na dobrą sprawę, rzadko kiedy się takie zdarzały — nawet w o-

drugie dlatego — że miał kilka dobrych „chwytów”, i po trzecie — że te chwytły w sposób klasyczny „rozłożył”. Już wielokrotnie zauważyłem — pewno zresztą nie ja jeden — swoistą (nazwałbym „televizyjną”) kokieteryę niektórych sprawozdawców telewizyjnych, tak zwanych — prowadzących program. Owa kokieterya sprawia, że telewizor czuje się zażenowany, a sam program zaczyna przybierać pozę panny na wydaniu, mizdrzącej się przed lustrem. Doprawdy szkoda telewizorów, i szkoda programów. W krakowskim repertuarze z Żywca kokieterya prowadzącego program (wybaczcie, nie zanotowałem nazwiska), była już wręcz nachalna. Wina jednak należy obarczyć głównie autora komentarza, ponieważ widać było wyraźnie, że „prowadzący program” nie mówił „swoimi słowami”, a miał tekst „wskuty na blachę”. Ktoś napisał dla niego ten szczególnie upstrzony ko kieteryjnymi zwrotami komentarz. Bardzo to przykke natura — słuchać, jak bogu ducha winny „prowadzący program” meczy się w roli uwo dziela telewizorów.

Ciekawą natomiast innowacją było wprowadzenie do programu krakowskiego bezpośrednich „bohaterów” repertuaru: władz miasta Żywca, którzy niejako polemizowali z pokazanym obrazem filmowym lub go żywo komentowali. Cóż wtedy zabrakło czasu na punkt — kiedy czekałem na jakiegokolwiek zdanie, na jakieś może postulat, „prowadzący program” oświadczył, że to właśnie już koniec repertuaru. Obecność zaproszonych gości okazała się wskutek tego zupełnie zbędna — nie zdążyli oni wypowiedzieć tego ostatniego, podsumowującego słowa. Po co więc repertuar z którego niewiele wynika?

Zatrzymam się trochę dłużej przy pozycji, wcale nie najlepszej — repertuaru publicystycznym, nadanym 28. VIFi z Krakowa. Zatrzymam się z kilku powodów. Po pierwsze dlatego, że nie nadawa no go z telerekordingu. Po

drucie dlatego — że miał kilka dobrych „chwytów”, i po trzecie — że te chwytły w sposób klasyczny „rozłożył”. Już wielokrotnie zauważyłem — pewno zresztą nie ja jeden — swoistą (nazwałbym „televizyjną”) kokieteryę niektórych sprawozdawców telewizyjnych, tak zwanych — prowadzących program. Owa kokieterya sprawia, że telewizor czuje się zażenowany, a sam program zaczyna przybierać pozę panny na wydaniu, mizdrzącej się przed lustrem. Doprawdy szkoda telewizorów, i szkoda programów. W krakowskim repertuarze z Żywca kokieterya prowadzącego program (wybaczcie, nie zanotowałem nazwiska), była już wręcz nachalna. Wina jednak należy obarczyć głównie autora komentarza, ponieważ widać było wyraźnie, że „prowadzący program” nie mówił „swoimi słowami”, a miał tekst „wskuty na blachę”. Ktoś napisał dla niego ten szczególnie upstrzony ko kieteryjnymi zwrotami komentarz. Bardzo to przykke natura — słuchać, jak bogu ducha winny „prowadzący program” meczy się w roli uwo dziela telewizorów.

Ciekawą natomiast innowacją było wprowadzenie do programu krakowskiego bezpośrednich „bohaterów” repertuaru: władz miasta Żywca, którzy niejako polemizowali z pokazanym obrazem filmowym lub go żywo komentowali. Cóż wtedy zabrakło czasu na punkt — kiedy czekałem na jakiegokolwiek zdanie, na jakieś może postulat, „prowadzący program” oświadczył, że to właśnie już koniec repertuaru. Obecność zaproszonych gości okazała się wskutek tego zupełnie zbędna — nie zdążyli oni wypowiedzieć tego ostatniego, podsumowującego słowa. Po co więc repertuar z którego niewiele wynika?



**Łódź - Świt**

*Pył nad przedmieściem psów szczekanie  
świtu powolne znozywianie*

*szczekanie psów przedmieście dudni  
skrzypli łańcuchem starej studni*

*porzuć ten pejzaż  
przetnij skwerek*

*gdy dotkniesz świtu  
- chłodny metal*

*skąd ta cerkiewka  
w środku miasta*

*skąd ty w tym świecie  
w środku chłodu*

*idziesz właściwie  
stąd ni zowąd*

*z pyłu przedmieścia  
w środek nocy*

**Notatka dla syna**

*Nie wiadomo jakie mgły dla ciebie*

*Mechaniczki Vlak, kolejka czeska  
Komisowa radość z kluczykiem  
Wystartuje kiedyś spod krzesła  
W przedpokoju zagwiżdże - i zniknie*

*Nie wiadomo jakie mgły  
jakie tropy*

*Raz cię kiedyś zaskoczy kwiecień  
Pora roku i inny stop  
Pozostanie już sam  
Hodowany w lazience  
Koń na biegunach*

*Jakie mgły...*

**Zniwa**

*Tu jest lan prasłowiański żyto  
Tu jest rzyśko ciernisko polsko*

*Tutaj latu obcięto włosy  
I chłopci brodzą w puklach*

*Rosła burza w butach podkutych  
Uderzyła obcasem w stóg*

*Tu jest lato i kłosoś dramat  
To jest rzyśko ciernisko polsko*

**FELIKS BABOL**

**WRZEŚĆ**

Ale kapitan nasz nie tracił humoru i właściwego mu opanowania. W pewnej chwili, gdyśmy w poszukiwaniu głębszego cienia pod stołem, przycupnęli jeden tuż koło drugiego, kapitan rzekł:

- Będzie pan kronikarzem!

To był rozkaz i w ten sposób zostałem historykiem czynów wojennych 5 kompanii II batalionu 10 pułku piechoty - jednego z owych pułków 25 Dywizji, która od 23 marca trzydziestego dziewiątego gnuśniały zmobilizowane na rozkaz Marszałka - najpierw w łowickim kinie „Słońce”, gdzie trzeba było odpowiedzieć na pytanie „kogo zawiadomić w razie wypadku?”, potem w szkole rolniczej w Łowiczu, potem w Nieborowie i wreszcie w Panigródzie.

Dla urozmaicenia robiliśmy wypadki patrolowe na przedpolu. Dzięki temu poznaliśmy nieco stosunki agrarne tej części polski wsł. Tu właśnie spotykaliśmy ubogie chałupki kolonistów rozrzucone w oceanie wielkiej własności ziemczalego ziemianstwa.

Ludzie w Panigródzie nteraz pytali, przepaszając, że nie chcą bynajmniej naruszyć tajemnicy wojkowej:

- Dlaczego jesteście tutaj, a nie bliżej granicy, bliżej Niemców?

- Taktyka! - odpowiadało

28 wydano nam ostrą amunicję. A to już przecież coś znaczy! Ale zaraz, zaraz... Komu ja to w Łodzi mówię, że wojny nie będzie? Cholera! Własnemu ojcu to mówiłem. Gdy w czasie urlopu, po obiedzie ocierał sobie wosy z resztek tłuszczy, zadał mi to pytanie w sprawie pokoju i wojny. Czy będzie wojna, czy nie będzie jej?

- Na pewno nie! - powiedziałem wtedy, nie wiedząc jeszcze sam, czy bardziej oszukuje siebie kłamstwem, czy kompromituje nieświadomością rzeczy.

- W 14-tym roku, pamiętam - na to ojciec - też mi tak mówił...

Po piątkowym nalocie był jeszcze nalot niedzielny, trzeciego września. Był i teraz ranni.

- Niech pan to wszystko opisz - przypomniał mi moje obowiązki kapitan.

Ale teraz wydarzenia następowały szybko jedne po drugich. Od południa przez nasze pozycje poczęły przechodzić całe karawany smutku: kolonisci z nadgranicznych wsi i osad udawali w głąb kra-

nie słowa pełne pogroźek, zatrute jadem nienawiści, a on codziennie jest świadkiem zgola innych, nowych dla Berlina wydarzeń. Wokół wre wyteżona praca. Tu nie buduje się bunkrów i schronów przeciwatomowych jak po tamtej stronie. Tu buduje się nowe, piękne miasto. Berlin nigdy w całej swej historii nie był tak piękny jak dziś na odcinku od Aleksanderplatz do Berliner Haus. Nowe budownictwo jest architektonicznie bardzo udane, budownictwo, które tak jak polityka NRD zerwało całkowicie z prusactwem. Nic co by przypominało koszary - dużo barw dużo słońca.

W dniu 20 kwietnia 1961 r. podjęto uchwałę o budowie śródmieścia stolicy Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Przez dwa lata odcinek pięknej szerokiej ulicy od Aleksanderplatzu do Berliner Haus stanowił jeden olbrzymi plac budowy. Po dwóch latach słowa uchwały przeobiekły się w piękne obiekty - bloki mieszkalne, pawilony handlowe, kina, restauracje, kawiarnie. Kino „Kosmos” jest chyba jednym z najładniejszych kin na świecie. Kino „Internacjonal” jeszcze się buduje ale nie będzie ustępowało „Kosmosowi”. Pawilon nowoczesnej sztuki jest jednym z najładniejszych elementów użytkowo-dekoracyjnych stolicy NRD. A to dopiero początek. To jest właśnie centrum Berlina i od tego centrum rozpoczęto planową budowę miasta.

PIOTR GOSZCZYŃSKI



Otto Venzki wzywa do marszu na Wschód



Gotowi do marszu na „niemiecki Wschód”

**DZIEŃ DOBRY**

**MISIU!**

Dalszy ciąg  
ze str. 1

ny - będzie pamiętka z Berlina.

Na Wardestrasse zatrzymują się także zielone autokary oznakowane trzema literami USA. Wtedy obiektywy aparatów fotograficznych obejmują nie tylko fontannę. Fontanna stanowi raczej pretekst - tuby teleobiektywów obejmują gmach stojący w głębi placu - gmach w którym mieści się siedziba partii.

Zielone autokary ze znakiem USA na mocy obopólnego porozumienia zawartego pomiędzy aliantami krążą po wschodnim Berlinie. Co prawda obopólne porozumienie nie przewidywało działalności szpiegowskiej ze strony Amerykanów, ale każdy pretekst jest dobry. Tak więc i wycieczka po wschodnim Berlinie dla pasażerów zielonych autokarów jest dogodną okazją do penetracji miasta. Amerykańscy „turyści” w zielonych mundurach z zamalowaniem fotografują. Zabytki raczej ich nie interesują. Z upodobaniem utrwalają natomiast na taśmie filmowej gmachy rządowe, miejsca o znaczeniu strategicznym. Dziwne hobby.

Od numeru 199 na Friedrichstrasse zaczyna się już Berlin zachodni. Tu, po stronie stolicy NRD powiewa flaga państwa - Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Po tamtej stronie Berlina, po stronie „wolnego” miasta wisi flaga... amerykańska. Nad prezydent zachodniego Berlina Willy Brand twierdzi - Berlin zachodni jest miastem wolnym. Z drugiej strony Brandenburgertor, tuż koło obudowanego się Reichstagu, z wycelowanymi w stronę stolicy NRD lufami drzewią nieruchomo czołgi z białą gwiazdą wymalowaną na stalowym kadłubie. Pod lufami czołgi mają wymalowaną białe niedźwiadki. No, tym człowiek nie ma chęci powiedzieć - dzień dobry Misiu! Raczej na usta cisnie się zupełnie inna propozycja. Czołgi są amerykańskie.

Po amerykańskiej stronie Berlina ustawiono „szczekaczki”. Z tej to „szczekaczki” nadaje się specjalne audycje przeznaczone dla mieszkańców stolicy NRD. Często gościem na owej „wolnej” trybunie jest Pan Karl Frahm - przepraszam tak

ten pan nazywał się za czasów Adolfa Hitlera, dziś zamerykanizował swe nazwisko, jest nadprezydentem „wolnego Berlina” i nazywa się Willy Brand. Wspomina często serdeczną przyjaźń z prezydentem Kennedym. Ciekawe czy prezydent Kennedy jest tego samego zdania.

Przed Bramą Brandenburską w słoneczne niedziele dziarskim krokiem przybývają kohorty młodych i starszych mieszkańców zachodniego Berlina. Dziarskim krokiem maszerują podopieczni pana Frahma - Branda - z werblami, z praporami, z fanfarami, z flagami - rozwążyli i odwetowcy. Zatrzymują się przed Bramą Brandenburską i w postawie na baczność czekają sygnału do marszu na Wschód. Do stolicy NRD, do Odry, i dalej do „odwiecznej” pruskiej Poznania i do Łodzi.

A może chcieliby pomaszzerować jeszcze dalej? Nad Wołgę? Jeden z przywódców takiego marszu przecież pozostał i także nosi dziewięcienne imię Adolf. General Adolf Heusinger za czasów malarza z wąsikami był szefem oddziału operacyjnego Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Dzisiaj jest „bossem” „NATO”. Wtedy, gdy był generałem w Wehrmachcie wyrzekł pamiętne słowa skierowane do Hitlera:

- Mój Wodzu, dumny jestem z tego, że pierwsze inicjały mojego imienia i nazwiska są takie same jak Twoje.

Słowa te chyba najlepiej świadczą o serwilizmie generala Heusingera i jego mentalności. Dzisiaj general Heusinger tęsknym wzrokiem spoziera na Wschód - za Bramę Brandenburską.

Starsi łodzianie pamiętają - był u nas w Łodzi prezydent w latach okupacji, który nazywał się Ventzki. Dziś jest ów stary zbrodniarz wojenny, ów aktywny faszysta, człowiek, który wstąpił do NSDAP w roku 1931, a w roku 1939 otrzymał ośrobiec z rąk Hitlera tzw. Złotą Odznakę Partijną - radcą Ministerstwa do spraw Przesiedleńców i stałym przedstawicielem tego ministerstwa na Berlin zachodni. Tak panna Heusingerowi jak i panu Ventzkiemu, sen z powiek spędzają demonstracje urządzane przez mieszkańców zachodniego Berlina. Zobaczenie kto leży na ziemi? Zamachowcy, wywrotowcy, faszysty, którzy nawołują do nienawiści rasowej i narodowej? Nie - to studenci zachodnioberlińskiego „Wolnego Uniwersytetu” pozwolili sobie zademonstrować przeciwko temu, że ich senat święcił ro-

cznię rozpoczęcia krwawej dyktatury Franco w Hiszpanii. To wystarczyło by ich bić pałkami, a aresztowanych przewieźć do więzienia w Spandau, które już nie gości w swych murach zbrodniarzy wojennych.

Miś po demokratycznej stronie Berlina ma nieco zdziwioną minę. Przez „szczekaczki” dobiegają go codzien-

**P**ANIE kapitanie, melduję postusznie swoje odejście na urlop!

- To złamcie nogę - powiedział kapitan. I nawet podał mi rękę na pożegnanie. Urlopu dostałem cztery dni, a i tak wszyscy mi zazdrościli. Była druga połowa sierpnia trzydziestego dziewiątego i nikogo już na urlop nie puszczano. Ale mnie udało się wyjątkowo. W wiejskiej karczmie w Panigródzie, w woj. poznańskim, gdzieś od lipca stał z całym batalionem, budując umocnienia piechoty, zapory przeciwczołgowe i okopy - w tej właśnie wiejskiej karczmie w Panigródzie wygrałem z kapitanem kilka partii w mały amerykański bilard z gryzkiem, a urlop był stawką. Dał oficerskie słowo - wygracie to jedzenie - i słowa dotrzymał. To było zresztą ostatnie słowo oficerskie, jakie dał w swym życiu.

**L**ATO dogasało w Łodzi w drugiej połowie sierpnia 1939 serią upałów, kawiarnie były w dzień puste, w ogródku „Romny” przy ul. Piotrkowskiej tylko wieczorem zbierali się ludzie, aby wypić „ewiartkę z:odu”, tylko w „Tivoli” można było spotkać mieszczuchów, którzy dawno już powrócili z urlopu, albo tych, którzy w ogóle nie wyjeżdżali do modnego Ciecocińska, Zakopanego czy Krynicy. W gazetach pełno było słów o ofiarności społecznej, o tym, że „silni i zwarci”, o jeszcze jednym nowym karabinie maszynowym ufundowanym jako znak protestu przeciwko rozczczeniu Hitlera. W „Tivoli” węgierska para tancerzy tańczyła artystyczne bolero Ravela, utwór w którym każdy instrument na swój sposób wyplakuje tę samą melodię. Ale przy stołkach, w tramwaju, na ulicy zatrzymywano zmobilizowanych żołnierzy, nielicznych zresztą, pytając jako dobrze poinformowanych:

- Czy będzie wojna?

- Gdzież tam! - odpowiadał żołnierz.

- To po co tam siedzicie na granicy?

- Marszałek kazał...

**D**WUDZIESTEGO drugiego sierpnia urlop się skończył. W Panigródzie pociąg leniwie przetaczano z toru na tor, wojsko wyładowywało kloce drewniane potrzebne do ziemnych umocnień, drut kolczasty, gwoździe, we dworze, gdzie oficerowie i podchorążowie jadali śniadania i kolacje, służące dworskie podawały z coraz bardziej widoczną ironią, dochodziło nawet do manifestacji złości i niegrzecznego poirytowania. Jakby mówili:

- Poczekajcie jeszcze trochę, nasz pan dziedzic jeszcze tu wróci. Bo to fakt - właściciel majątku którejś nocy tajemniczo opuścił dwór, a jedynym śladem jego politycznej demonstracji była trójkolorowa flaga III Rzeszy prowokacyjnie rozwieszona w gabinecie.

**W**piątek, 1 września był pierwszy nalot niemieckich bombowców. Samoloty nadelagnęły znieścacka, jak zresztą znieścacka wszystko w tej wojnie się zdarzało, leciały całymi eskadrami i zanim zdążyliśmy się schronić w cień najbliższego stogu ze zbożem, były już nad nami. Przywarliśmy do stogu, przez linie okopów przebiegł rozkaz „krzyć się”, a za chwilę spadły bomby.

Jak spłoszone ptaki wyfrunęły nagle pod niebo szczątki belek, krzyżaki z drutem kolczastym, rozdzwoniły się telefonny polowe wzdłuż całej linii batalionowej.

A potem jeszcze samoloty wróciły. I znów na naszej linii groch z kapustą. Daremnie ustawiono CKM-y do strzelania przeciwlotniczego, małe iskielki pocisków zapalających nawet nie sięgaly bombowców. Padł więc rozkaz „nie strzelać”. Bo z czym i do czego?



# Przed nowym sezonem muzycznym

Tegoroczny sezon muzyczny prawdopodobnie zadowolili nawet najbardziej wybrednych melomanów; obfituje zarówno w ciekawe pozycje repertuarowe jak i występy wybitnych muzyków. Jedynym bodaj mankamentem jest fakt, że podczas gdy plan pierwszej części sezonu (do grudnia) aż roi się o wielu świetnych nazwisk (czasami nawet czterech wybitnych muzyków w jednym miesiącu), to druga część jest raczej pustawą i brak atrakcyjnych solistów trzeba będzie nadrobić ciekawym repertuarem. Wina za to nie można jednak obciążać dyrekcji naszej Filharmonii, która uzależniona jest od zagranicznych kontraktów PAGART-u. W bieżącym sezonie muzycznym położono główny nacisk na muzykę rosyjską i radziecką (m. in. w rocznicę Rewolucji Październikowej nie wykonywana Jeszcze w Łodzi kantata Prokofiewa „Aleksander Newski”) oraz w związku z XX-leciem Polski Ludowej muzykę polską. Muzyka polska, utworami kompozytorów zarówno współczesnych jak i dawnych, nasycona będzie drugą częścią sezonu. Usłyszymy wedy zapomniane, od dziesięciu lat nie wykonywaną muzykę do „Fausta”, która — jako pierwszy kompozytor da świecie — napisał Radziwiłł. Z tym właśnie utworem zespół Filharmonii Łódzkiej pojedzie na Festiwal Muzyki Polskiej, który odbędzie się w maju przyszłego roku w Bydgoszczy.

Za zjawisko bardzo pozytywne wpływające na urozmaicenie sezonu trzeba uznać fakt, że w roku bieżącym zaprezentują się na estradzie Filharmonii wszystkie niemal zespoły muzyki symfonicznej: zespół „Pro Musica”, chóry PWSM i PSSM, Kwartet Łódzki itd. Jeszcze przed oficjalnym otwarciem sezonu, we wrześniu, usłyszymy bardzo interesujący zespół symfoniczny: angielska akademicka orkiestra symfoniczna, a potem świetny zespół Filharmonii Drezdeńskiej. W międzyczasie (13. IX) orkiestra Filharmonii Łódzkiej otworzy bieżący sezon utworami Bacha, Szymanowskiego i Strawińskiego. Solistka tego koncertu będzie nie widziana od dwóch lat w Łodzi Wanda Wilkomirska. We wrześniu usłyszymy jeszcze Belle Dawidowicz oraz stalego już gościa naszej estrady Alfreda Orde.

W październiku wystąpi Jerzy Katlewicz (po powrocie z tournée po Japonii). Pod jego batutą grać będzie bardzo interesująca turcka pianistka Aysegul Saviglia. Łódzcy melomani ucieszą się zapewne z występu znakomitej radzieckiej skrzypaczki Mariny Jaszwilli. Również w październiku wystąpi z Tadeuszem Zmudzińskim niemiecki dyrygent z Weimaru Gererd Pfleger.

Kulminacyjnym punktem „muzycznego listopada” wydaje się — poza wspomnianą kantatą Prokofiewa — występ radzieckiego skrzypka, laureata pierwszej nagrody na konkursie im. Czajkowskiego w Moskwie, Borysa Gutnikowa.

Grudzień jest najbojatszy w występy zagranicznych muzyków. Ciekawie zapowiada się występ amerykańskiego skrzypka Carola Glana, który pod dyrykcją swego rodaka Douglasa Freemana wykona koncert skrzypcowy Ryszarda Straussa. Jest to praktycznie polskie tego utworu. W grudniu także usłyszymy „Requiem” Verdiego, które poprowadzi estoński dyrygent Arvid Janson oraz Daniela Szafrana, który grać będzie koncerty Haydna i Czajkowskiego. Pierwszą połowę sezonu uzupełniają recitale — m. in. Władysława Aszkenezego, który cieszy się w Polsce olbrzymią i zasłużoną popularnością oraz murzyńskiej śpiewaczki Shirley Verret. Zgodnie z tradycją śpiewać ona będzie (poza pieśniami różnymi kompozytorów) negro-spirituels.

W drugiej połowie sezonu — zapowiadanej jako ubojsza — wystąpią muzycy tej miary co dyrygent Konstantin Iljew, pianista Kłoko Tanaka i Witold Małcużyński (który tym razem wystąpi prawdopodobnie nie w recitalu, a w koncercie) oraz doskonale znany już w Polsce amerykański muzyk Sidney Harth.

Dyrekcja Państwowej Filharmonii Łódzkiej (przypominamy, że dyrektorem i kierownikiem artystycznym jest Stefan Marczyk, wicedyrektorem Jerzy Piatkowski, a dyrygentem Arkadiusz Basztoł) przygotowała tegoroczny plan koncertowy wyjątkowo starannie. Mamy nadzieję, że wobec tego sala Filharmonii Łódzkiej, która już w ubiegłorocznym sezonie zapełniała się większą niż kiedykolwiek dotąd liczbą publiczności będzie w tym roku cieszyła się nie słabnącą frekwencją.



WIESŁAW JAŹDŻYŃSKI

W SZEDZIE, gdzie istnieją ludzie — ludzkie społeczności, grupy społeczne, klasy, narody, państwa, — wszędzie tam istnieje szkoła, istnieją nauczyciele i uczniowie i trwa proces nauczania. Szkoła pojęta jako nauczanie usystematyzowane jest transcendentalna historycznie, uniwersalna, prawdziwie powszechna. Nawet ci, którzy byli od szkół oficjalnych odsunięci, poddawani zostali pewnemu nieuprzywilejowanemu usystematyzowanemu nauczaniu, tzn. jakiejś szkole, która miała właśnie o tym nieuprzywilejowaniu ich pouczyć, do tego upośledzonego społeczeństwa bytu przygotowywać. Nawet tam gdzie nauczycielami byli czarownicy, plemienni szamani, nauczali oni także racjonalistycznie — często w zabobonnych obłonkach — zazwyczaj w irracjonalnych obrzędowych obrazach podawali przecież racjonalistyczne, służące takim czy innym kształtom życia treści.

Szkoła jest więc instytucją powszechną i w swej istocie elementarnie racjonalistyczna. Śmierć jest także powszechna i w swym biologicznym, przyrodniczym aspekcie podstawowym racjonalistyczna. Jednak śmierć w aspekcie psychologicznym i moralnym, w aspekcie humanistycznym wydaje się całkowicie irracjonalna. Szkoła i śmierć to dwa bieguny dramatyczne ostatniego zapisu powiesciowego Wiesława Jażdżyńskiego (\*). Oczywiście jest to dramaturgia walki, bowiem czas tej powieści, lata wojny i okupacji jest okresem wzbranej, rozpasanej śmierci. Zwiolokrotniona wojna śmierci

wyżyła się biologicznych cech racjonalistycznych — jest ona ślepnym, absolutnie irracjonalnym żywiołem. Partyzanci, uczniowie wojennej szkoły, przynoszą granat — niewypał: „najgłupszy granat świata” który uporczywie wbrew ekspertyzie rusznikarskiej nie wybucha. Profesor wojennej szkoły surowo nakazuje usunąć ten granat-maskotkę, bowiem szkoła jest instytucją racjonalistyczną, miejscem przyswajania zasad wymiernych i fizycznie sprawdzalnych dlatego irracjonalny rekwizyt śmierci trzeba usunąć ze szkoły.

Uzbrojeni licealiści czują w zasadzce, strzelają do hit-

leżących w powieści i przyrodniczo i kosiedza prefekta i polonistkę i dyrektora z jego koncepcją ponadpartyjnego, autorytatywnego państwa. Zatem te różne ideologiczne i światopoglądowe wojska wymaszerowały ze szkoły, która prowadząc przysposobienie wojskowe nie omieszkała w swoim czasie nauczyć pupilów ostrego strzelania.

Ponieważ wojna wybuchła dość wcześnie i nie wszyscy zdążyli szkołę ukończyć, ponieważ czas wojny nie zahamował biologicznego, czasu dojrzewania tych, którzy przed wojną do szkoły nie dojechali, ponieważ do szkoły się nie pojawili, ponieważ pojawili się inni, ot tacy, jak Wilk, pozornie pozaszkolni,

dlatego, ponieważ znając niekto z tych praw sądził, że zna już wszystko.

Powieść Wiesława Jażdżyńskiego jest zapisem tragedii optymistycznej, śmierć w walce ze szkołą zostaje wyparta, zepchnięta do dawnego lożyska: „...Szkolę ludzi nikt nie interesował. Stał samotnie w gabinecie ogłocołym z mebli, śmiech i niepotrzebny. Teraz starannie wymyty, błyszcząca w pokoju nauczycielskim, szczyrzył żeby do uczniów w czasie lekcji anatomii i gławił swoją okazałością mądry ród ludzki...”. To ze szkół świecą swoje zwycięstwo w atmosferze ostrych sporów między nauczycielami wcale nie umniejsza jej triumfu, są to bowiem coraz wyraźniej spory dydaktyczne, spory szkolne i tylko takie mogą być traktowane poważnie. Pokazuje nam Jażdżyński profesora Dziedziucha, który trzaskając dziennikiem w stół ostrzega radę pedagogiczną przed dżikiem, czerwonym Makareńką, który twierdzi, że: „...Uczeń robi szkołę razem z nauczycielem...”. Starzy nauczyciele nie mogą się uwolnić od pojmowania ucznia jako własności wychowawcy, głąbi do formowania. Wiesław Jażdżyński przekonująco wykazał, że uczeń był dynamicznym, czynnym składnikiem szkoły wojennej, co więcej wydaje mi się, że przeżył sprawę, bowiem książka pisana jest z pozycji ucznia. Główne medium Jażdżyńskiego — nauczyciel Socjalista — jest bardziej uczniem niż nauczycielem, podobnie uczniem, z mentalnością oczywistą, a nie z funkcji jest Justyn. Jak łatwo Justyn w pierwszym zotknięciu dogadał się z młodym Wilczkiem! Mieli podobny dowcip dowcip z małą codzienną filozofią, filozofia infantylnego, żakowskiego realizmu dnia codziennego: „...O tej godzinie zastrzelili tatusia, tak mówią, ale to nie pewnego. Zegar się podobno zmarnił, a zwłaszcza wskazówki...” — tyle Wilczkowie, a Justyn im na to po chwili: „...Dwóch panów z trupia czaszka poszło spać na zawsze, co i my uczynimy, ale tylko do jutra...”. Mały realizm sztubaków, dowcip z wagarów, otrzewujące szwenderstwo zdrowych, bardzo młodych ludzi okazuje się w pewnych aktach walki ze

BERNARD SZTAJNERT

# Szkoła i śmierć

rowców, jest z nimi ich profesor — on także strzela, bowiem walka z hitleryzmem to walka z pozarozumowym żywiołem śmierci. Dlatego strzelający profesor jest na swoim miejscu — to przedłużenie szkoły ta walka: pokazowa lekcja ostatecznych jej konsekwencji.

A przecież ci, którzy walczą z hitlerowcami nie zajmują postawy jednolitej: „W lasach siedzi nie jedno wojsko, ale kilka, każde ma jakiś swój światopogląd...”. To nie stoi w sprzeczności z racjonalizmem szkoły, przeciwnie, to się właśnie z niej wywodzi, to w szkole utfundowano podstawy tych odrębności, bowiem elementarny szkolny racjonalizm wcale nie jest tożsamy z ateizmem; mieści on w sobie obok przyrodniczego i filozoficznego materializmu także religijny spirytualizm. Jażdżyński przy-

w istocie przez przedwojenną społeczność przeznaczoną do szkół dla nieuprzywilejowanych — szkoła musiała trwać w czasie wojny ze szczególnym nasileniem, jak nigdy kompletna i wyjaśniająca, jak nigdy przeciwna szczególnie wzbranej śmierci.

Tknięte tych okrągłych i zamkniętych światów, o których pisze Wiesław Jażdżyński można wyprostować i rozciągnąć na laboratoryjnym stole, wtedy zobaczymy szkolny początek i koniec każdego z tych indywidualnych światów, a rozwój ich okaże się osobistym procesem wychowawczym. Szkoła nauczy nas precyzyjnie, obiektywnie odwarzać przeszły świat, więcej, nauczy nas w oparciu o rozumowe przesłanki, przewidywać świat przyszły — istnieją bowiem prawa rozwoju, o których wiedział Wolgus, a Wolgus nałwy był tylko

Dokończenie na str. 6

## Na tropach września



ju z całym swoim, naprędcie załadowanym na wozy, dobytkiem.

— Dokąd idziecie? — pytaliśmy wystraszonych, smutnych i zrezygnowanych. Tym pytaniem dodawaliśmy i sobie ducha.

— Starostowie dali taki rozkaz, to idziemy.

Ale właściwie to nie wiadomo, kto się nad kim litował. Czy uciekający litowali się nad nami — że o to pozostawiali nas to osamotnionych choć z karabinami, ale na porządku nadciągającego szakala — czy my nad uciekającymi. Psy jak oblakane krążyły wokół jadących wozów, baby modliły się kiwając na stertach gratów, jakaś młoda dziewczyna szła wyrzymując się z uścisku podtrzymujących ją mocno w ramionach smutnych ludzi.

— To historia — objaśnił mnie kapitan.

Tej nocy też — z niedzieli na poniedziałek — był alarm. Z dziur wydrążonych w ziemi, zaspani, przerażeni, w nieruchomym powietrzu czuliśmy grozę. Przed nami, na zachodzie dogasały pożary — nie można Szwabom niczego zostawiać — tłumaczył swój rozkaz starostowie. Grozę czuliśmy i we własnych spojrzaniach. Gdy kompania stanęła na folwarcznej podwórku, okazało się, że brak nam jeszcze tylko dowódcy batalionu. Ale i on się zjawił, więc mogliśmy ruszać.

Zachręśliły troki chlebków, zadźwięczały bagnety ocierające się o polowe łopatki, zakrzypiały osie bielek amunicyjnych. Tak oto zaczął się Wielki Odwrót.

**D**OPIERO teraz, w kolumnie batalionowej, posuwającej się po omacku wielkim traktem, uprzytomniłem sobie wyraźnie to, co wydarzyło się dnia poprzedniego. Oto o zmierzchu z kapitanem wyruszyliśmy na patrol.

— Sprawdzimy czaty i placówki — rzekł.

Okazało się, że tym razem ludzie na wysuniętych placówkach nie spali. Od granicy coraz bardziej rumieniły się tyny pożarów. W chałupce przy drodze tliło się mdłe światło. Wszliśmy. Powitało nas trzepotanie kurzych skrzydeł pod łóżkiem zbitym ze zwyczajnych nie heblowanych desek, w lampie na piecu dopalała się reszta nafty. Onieśliśmy na chwilę, patrząc na dramat, nie widząc nawet tych, którzy w popłochu opuścili ten dom — przygraniczną wysepkę łąki.

— O, książka! — szepnął w pewnej chwili kapitan. Leżała na murku nad piecem, miała polamane, zniszczone okładki. Podszedłem, ale zanim zdążyłem spojrzeć na tytuł, otworzyła się sama.

Zaraz od góry przeczytałem tekst, który pozostał potem w mej pamięci już na zawsze:

„Błogosławiony niech będzie dzień, który przeżyłeś i noc, która da ci szczęście...”

Bez słowa wyszliśmy z opuszczonego domostwa. Na wschodzie, w kierunku wsi, ginęły już w ciemnościach ostatnie wozy uciekających.

**R**OBIŁISMY na dobie po 50-60 kilometrów. I od razu ustalił się cały system Wielkiego Odwrótu. Wyruszyliśmy o wczesnym wieczornym zmierzchu, na kilkugodzinny postój zatrzymaliśmy się dopiero wtedy, gdy słońce było już wysoko. Kuchnia zagubiła się gdzieś już trzeciego dnia. Więc w opuszczonych miasteczkach i wsiach pożywiłiśmy się tym co jeszcze zostało: jakimś dżemem ze zrujnowanego sklepiku, sucharami, koniakami, którego nikt w popłochu ucieczki nie chciał zabrać, jajkami, kradzionymi kurami.

Najgorsze były godziny tuż po wschodzie słońca, gdy promienie raziły zmęczone oczy jak żyłki. Najlepsze zaś były zatory na trasie, zatrzymujące pochód. Ludzie jak automaty schodzili wtedy na bok, przerażeni nogi na szosę, podkładali sobie helmy pod głowy i natychmiast zasypiali. Gdy pochód znowu ruszał, a czasem następowało to zaledwie po 10-15 minutach, wielu błąkało się maruderów wzdłuż kolumny. Ludzie zrywali się z kamiennego snu za późno, dopędzali więc swe oddziały, gubili helmy, plecaki i Karabiny nawet. Gubiliśmy też coraz bardziej wiarę w zwycięstwo.

**I**NACZEJ wiodło się ludziom, inaczej dowódcom. W tych dniach Wielkiego Odwrótu, gdy batalion zatrzymywał się, aby po całonocnym marszu poprzec wertepy nie-

znanych dróg i traktów, nieco odsapnąć — natychmiast wzywano dowódców na odprawę. W tym czasie właśnie ludzie mogli zdjąć buty, opatrzyć rany i zapaść w sen. Ale dówódcy, już od plutonu wwyż, tej okazji nie mieli. Dowódcy zaszczęśli więc w skrytości ducha ludziami.

Trasa Wielkiego Odwrótu wiodła z rejonu nadgranicznego prosto na wschód. Gdyśmy przechodzili przez Bydgoszcz pospaly się na nas z okien kule volksdeutschów. Nikt nie nie wiedział — ani widział, tylko ta panika, tylko ucisk gdzieś w żołądku, tylko te gwizdy karabinowych pocisków ześlizgujących się po murach, sztychach i kamiennych kostce jezdni. Ale pod Inowrocławiem dogoniła nas nareszcie dobra wiadomość: — Gdańsk wzięty przez naszych. Angliki i Francuzi zajęli Berlin!

Te dobre wieści ośmieliły niektórych. Zaczęli interesować się przyczynami Wielkiego Odwrótu.

— Taktyka — oceniał sytuację kapitan. — Na granicy nie chcieliśmy wydać Szwabom bitwy, no, bo sami rozumiecie, nie będziemy bić się, z czołgami. Ale tu? Wpuściliśmy ich w sam środek naszych ugrupowań — tak, dopiero tu poczują smak polskiego oręża.

Ale nie wytłumaczył wielu rzeczy: dlaczego w takim pośpiechu wiemy, jak długo to jeszcze potrwa, jak silne są oddziały niemieckie, które klimami posuwają się w głąb kraju.

— Ile tego może być? — marszczył czoło kapitan — jest parę czołgów. Dostaną jednak lupnia wkrótce — zapewnią. — Niech ludzie przygotują butelki z benzyną.

**K**armiliśmy się więc wieściami: że w Borach Tucholskich nasz jeden pluton rozpedził na białą broń całe niemieckie batalion, że ilość jeńców niemie-

kich rośnie niepowstrzymanie z dnia na dzień, że jednak trzeba utrzymywać czujność wobec wroga, który czyha na każdym kroku. Więcej były dni, że byle kogo braliśmy za dywersanta, jak to w czasach popłochu i historii. Ale jednego schwytałismy prawdziwego: z brzoźowe go lasku nad samym rankiem strzelał z erkaemu do naszej kolumny. To był nasz największy sukces w dziedzinie zwalczania niemieckiego drugiego frontu na tyłach.

13 września nacięliśmy na pozycje niemieckie z drugiej strony Bury po raz pierwszy. Nieprzyjaciel umocnił się na wysokim brzegu rzeki, a ogień ciężkiej broni maszy nowej na każdą najwęższą nawet lukę między zabudowaniami we wsi, która dzieliła nas od siebie. W tej wsi i przed nią, w czasie przeprowadzania się po pas przez rzekę, w natarciu na stanowiska niemieckie za Bzurą, w tej wsi, w Kompinie, już w czasie pierwszego naszego natarcia zginęło wielu. Co do niektórych zaś do dziś nie wiadomo, czy zginęli właśnie tam.

Z każdego natarcia wracaliśmy coraz bardziej osamotnieni i wykrwawieni. Mimo, że od powodzenia naszych ataków zależało podobno wiele: mieliśmy wiązać — mówiono nam — główne siły niemieckie nad Bzurą dopóki nie nadejdą wojska grupy poznańskiej. Nacięliśmy więc, ale bez powodzenia i z coraz większymi stratami.

**N**asza kompania zmalała już do plutonu, a którejś nocy, gdy po kolejnym natarciu, cofnęliśmy się do wsi na północ na kilkugodzinny odpoczynek, gdy na skutek podsłuchu niemieckiej łączności ich artyleria „wymacała” nasze miejsce postoju i wyrwała całą wieś do góry nogami — zagubił nam się nasz kapitan. Czuliśmy się więc osobiście zwolnieni ze

zleconego mi obowiązku historii tego wojny. Tym bardziej, że w ciągu kilkunastu dni września dostatecznie wczuliśmy się w nędcę opuszczonego i bezbronnego żołnierza, dostatecznie na to, aby pogardzić blaskiem bijącym z kart historii.

Z tej strzaskanej wsi wstaliśmy rano rozbić zupełnie. W nocy rozprzegły się też wszelkie związki między „Judzmi” a „dowódcami” i żandarmerią polową, buszująca konna po polach, nie mogła sobie poradzić z tymi, którzy mieli już dosyć wojny. Nas — ocalała nieleżąca garstka, stanowiąca lichą drużynę — przywrócił wojnie i zniszczeniu nieznan major z pewnego nieznanego pułku.

W rowach i we wsi zbierał on wszystkich kto się nawinął pod rękę. Na próżno tłumaczyliśmy majorowi, że nasz pułk już dawno jest w odwodach, że to co do niego należało, wykonał, że tutaj zostaliśmy tylko w „piec chłopa”. Wyjął z kabury „Vi sa” i z sykłem wyrzucił przez zęby:

— Mam sam ginąć!

Nacięliśmy z nim jeszcze raz. A wszystko przez starostę strzelca Szatana (łodzianin, mieszkał na Piotrkowskiej, w domu gdzie było przed wojną kino „Casino”). Szatan był gościem batalionowym. W nocy, z piętastego na szesnastego, gdy biegł do naszej kompanii z meldunkiem, aby przed świtem wycofać się wraz z resztą pułku o trzy kilometry do tyłu, padł od zabłąkanej kuli niemieckiego erkaemu. Więc rano, gdy pod Kompina nie było już ani śladu po naszym oddziale, nacięliśmy z szalonym majorem z nieznanego pułku po raz ostatni...

FELIKS BABOŁ



informacje  
i zaczepki

Młody polonista Łódźki mgr Jerzy Tynecki pracujący nad bibliografią utworów Tadeusza Micińskiego znalazł fragmenty zupełnie dotychczas nieznanymi utworów tego poety. Wśród znalezionych prac są m. in. przekłady Micińskiego z języków Wschodu. Podobno tekstami zainteresowało się Wydziałstwo Łódzkie.

Na niedawno odbytym posiedzeniu Komisji Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Rady Narodowej m. Łódźki podano, że w budżecie na rok 1964 przeznaczono na budownictwo mieszkaniowe 830 milionów złotych, 40 proc. inwestycji to tzw. „budownictwo oszczędne”. Nie wiemy co się za tym storulowaniem kryje. Mamy nadzieję, że nie brak kłamek, dziurawej wanny i fałszywej podłogi.

Rzecz niespotykana od lat. Licea Ogólnokształcące przeżywające od lat istniejące kandydatów w tym roku w samej tylko Łódźki dysponują jeszcze ilością 80 wolnych miejsc. Większym powodzeniem cieszą się zdecydowanie technika i różnego typu szkoły zawodowe. Wniosków nie precyzujemy, zostawiamy to socjologom.

Z okazji święta lotnictwa — ciekawostka. Aeroklub Łódzki liczy 200 wyszkolonych pilotów wyścigowych i silnikowych oraz pół tysiąca modelarzy. (J. W.)

Szkola  
i śmierć

Dokończenie ze str. 5

śmiercią zupełnie wygodnym kostiumem, chroni tak jak odtrutka przed patosem, przed brzydota i przed brzydota patosu. W ten sposób w naczelnym zadaniu walki ze śmiercią angażuje się cała szkoła — także uczniowie z obniżonym soplem z sprawowania. A cóż Zbik Wielki i jego ludzie — oni odstąpili szkoły, chcieli wprawdzie kiedyś sprowadzić sobie siła profesora, ale pewnego dnia załadowali się na samochody hitlerowe i pojechałi walczyć po stronie śmierci.

Tak pojął dramaturgię i filozofie powieści Wiesława Jażdżyńskiego. Autor zdołał przeprowadzić tezę o zwycięstwie szkoły nad śmiercią, w walce tej nie uniknął błędów, za bardzo przychylił się do wzorca małego realizmu filozofii uczniów-szubaków — epatowała go ich trzeźwość i zdrowie, nie dostrzegł natomiast infantylności ich uczuć i przejęty odkrytym widłami szubacka w filozofii walki, szubacka osoby i tereny absolutnie, od wszelkiego nawet w najlepszej służbie będącego zakowstwa wolne, kłaze np. niekiedy żartować na modłę żaków nawet Madama i niektórym żołnierzom. Ponad to przeląkł się symbolów, które sam utracił — sora-wa „najlepszego granatu” czy szkolnego szkieletu nie zacięła rozegrana do końca — granat mógł wybuchnąć setkami interesujących znaczeń zagęszczając te prozę i stawa-wiac sensowna przeciwważ kart wywołanych trwożliwie werystycznym opisem. Błędy te nie umniejszają zasług Wiesława Jażdżyńskiego. W „...” na powrotu” przedstawił szkole czasu wojny, szkole walczącą i zwyciężającą śmierć.

BERNARD SZTAJNERT

str. 6  
odgłosu

## Arystarch

Maestro  
tak chce  
i basta!

GIUSEPPE VERDI

Niemalże krytycznych uwag i wybrzydzeń na operę, jako na gatunek teatralny, przebrzmiały i nie do przyjęcia przez współczesnego widza, padło przed kilku miesiącami na tych łamach wywołując z kolei sprzeciwy i protesty zwolenników, ba, nawet entuzjastów widowisk operowych. Przypomnijmy, że śledząc z interesującą polemiką, czułem się trochę jak na rozdwoju. Z jednej strony, miałem dawny sentyment do urzekających melodyjnych arii włoskich i francuskich kompozytorów, pociągaly mnie pomysły rozwiązań inscenizacyjne i reżyseria, przy pomocy których dyrekcja Łódzkiej Opery starała się odmłodzić i unowocześnić przez starzałe melodramaty muzyczne; z drugiej — czułem się nieraz zażenowany słuchając szablonowych i wyswiewanych tekstów staroświeckiego libretta.

Zdarzyło się jednak, że w tym roku po raz pierwszy oglądałem w sopockiej Leśnej Operze „Halke” i „Aide”. Monumentalna oprawa teatralna, dzieło przyrody — zboża leśne, drzewa, gwiazdzisty strop nieba, podwyższony ramy widowniska operowego. Przypomniał mi się Wyspiański (nazbyt to wprawdzie pochlebne dla Verdiego!) ze słynnym: „Teatr mój widzę ogromny...” Patrząc na spektakl w Leśnej Operze słuchacz zapomniał o usterkach i niedoręcznościach libretta a percepcją muzykę, śpiew, kostiumy i elementy barwy i ruchu. Scena, w której gromada chórzystów w góralskich strojach w „Halce” w świetle reflektorów schodzi z leśnego zbocza na scenę wypadła nader efektownie. Takie i podobne fragmenty pozostają w pamięci. Przy tym, obryzmia widownia, cztery tysiące widzów pod gołym niebem, to robi wrażenie, pro-

szę państwa. Robi wrażenie i sprzyja... autosugestii. Skoro tyle tysięcy ludzi się zachwyca...

Rację ma Andrzej Kijowski pisząc w „Teatrze” w felietonie. „Nowoczesny człowiek ludens”, że „oswojony z wieloma konwencjami, przymuszony (przez chęć rozrywki, uw. moja. Ar!) do ich tolerancyjnej akceptacji, współczesny człowiek kulturalny nie ma żadnych przekonań stałych. Żadnych — prócz jednego, że sztuka jest konwencją”.

Uwagi powyższe nasunęły mi się w związku z wydaniem przez Polskie Wydawnictwo Muzyczne książki Henryka Swolickiego o Verdym z okazji 150-lecia urodzin twórcy „Aidy”.

Dalszy ciąg  
na str. 7

Dalszy ciąg ze str. 1

Eksperyment  
i rzeczywistość

w porę uwagi trenerom. Można by uniknąć w ten sposób wielu błędów, które popełnia się uporczywie z tygodnia na tydzień.

Poza tym uważam, że zawodnicy ligowej drużyny LKS mają braki techniczne. Np. prawie wszyscy słabo stopują

piłkę, źle grają głową itp. Przy tym są powolni, brak im szybkiego startu, a już co najgorsze, niektórzy grają nonszalancko. Brak im, jak się to w gwarze piłkarskiej mówi, „ikry” w grze. A przecież są to przeważnie (od niedawna niestety) młodzi

chłopcy. Za mało walczą o piłkę i łatwo dają ją sobie odbierać. Są to usterki, które trenerzy i kierownictwo sekcji powinno widzieć, gdyż rzucają się one w oczy każdemu kibicowi i głośno się na ten temat mówi.

Przy dzisiejszym poziomie piłkarskiej ekstraklasy w Polsce braki, które przed chwilą wymieniałem, nie mogą cechować zawodników ligowych i trzeba je co rychlej usunąć. Kierownictwo sekcji winno dopilnować — a tego nie czyni — żeby trenerzy położyli większy nacisk na szkolenie techniki. A może system treningowy jest ułożony tak niefortunnie, że zawodnicy są przetrenowani.

Zdaje sobie dokładnie sprawę z tego, że jest jeszcze wiele innych powodów i przyczyn, które doprowadziły do tak trudnej i przykrej sytuacji. Cały szereg tych powodów podał autor cytowanego na wstępie artykułu, a niektóre opisał z drobnymi nawet szczegółami. Dorzuciłem kilka moich skromnych uwag, które Zarząd LKS powinien wziąć pod rozwagę, chcąc naprawić powstałą sytuację dopóki jeszcze czas, a do końca rozgrywek daleko.

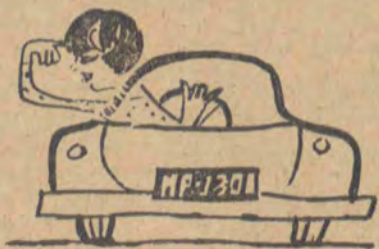
Zabierając głos w dyskusji na ten ważny dla kibiców łódzkiej tematy, nie mam bynajmniej zamiaru nikogo dotknąć ani urazić. Lecz w najlepszej wierze pragnę zasugerować pewne usterki, które mogły ująć uwagi kierownictwa przy pełnieniu innych obowiązków. Mam nadzieję, że dalsi dyskutanci poruszą problemy, które stały się przyczyną powstałej trudnej sytuacji, a to z kolei pozwoli na znalezienie właściwej drogi do wyjścia z impasu w jakim znalazła się piłka nożna w LKS. A może zarząd klubu zajmie stanowisko w omawianych kwestiach?

WAWRZYNIEC CYL

## Co w terenie

## Dwa objazdy

Zarówno w Ozorkowie jak i w Zgierzu trwa obecnie przebudowa głównych ulic w centrum miasta. W związku z tym na drodze wprowadzono objazdy. Objazd w Ozorkowie został pomyślany wzorowo. Wzdłuż całej trasy, prowadzącej bocznymi ulicami, zawieszono lampy jarzeniowe, więc nawet nocą kierowca posuwa się „jak po sznurku”. Natomiast w Zgierzu nawet szlaban zagradzający drogę jest słabo



oświetlony, a tuż po opuszczeniu głównej ulicy wpada się w absolutne, egipskie ciemności. Co tam zresztą latarnie, nikomu nawet do głowy nie przyszło zawiesić strzałki, wskazujące trasę objazdu.

Niby dwa „podobne” miasta, a taka różnica. Czyżby przyczyna tkwiła w tym, że Zgierz jest miastem wydzielonym, a zatem posiadającym swobodę rządzenia się własnymi prawami? Przy okazji zastanów się warto nad różnicą między prawem do ciemności, a prawem do ciemnoty.

szuka komentarza, nawet życiorysu autora. Wyszło u nas wiele tysięcy egzemplarzy Hemingwaya, ale interesująca broszura o pisarzu (z cyklu „Małe profile”) nie znalazła się pod ładami; dostępna, stosunkowo długo leżała w witrzynach księgarskich.

O cóż mi więc chodzi? O rozwinięcie pojęcia obezwładnienia, którego użył W. Jażdżyński. Można przecież zacząć od zachwyty dla muzycznej twórczości samego Pendereckiego i na tym poprzestać, a można zacząć od cielecego entuzjazmu dla estradowej piosenki i dojść stopniowo do Strawińskiego czy właśnie Pendereckiego, wszyscy bowiem zaczynamy przede wszystkim od czytania jakże trudnej w swoim czasie frazy „Ala ma kota”!

Wydaje mi się więc, że duże znaczenie ma nie tylko i nie tyle troska o wytyczenie podziału kultury, ale walka z każdego rodzaju obezwładnieniem i pasywnością.

Nad tym właśnie, nad pewnym aspektem tej sprawy chciałbym dłużej się zastanowić. Oczywiście, w sposób mi najbardziej nieprzyjemny, a więc felietonowo.

Skorzystam i w tym wypadku z prawa do analogii. Po raz pierwszy, podszyci miłym dreszczykiem, wieść o „pigulkach radości” dotarła do mnie na początku 1959 roku. Mówiono więc, że w Ameryce wśród wielu innych pojawiły się także i pigułki, których zażywanie wyprowadza człowieka ze stanu depresji, pozwalając osiągnąć mechanicznie równowagę wewnętrzną, zwolnienie z napięcia, a nawet niejaki poczucie graniczącego z sennością zadowolenia. Wreszcie tak się zdarzyło, że szwagier przywiózł mi 50 egzotycznych pigulek w ciemnym flakoniku. Zabrałem się do ich lykania, nie zasięgając, jak to najczęściej w takich wypadkach się zdarza, porady fachowej. Towarzyszyło temu lykaniu niemal nabożeństwo. Sugestia robiła swoje;

UWAGA,  
meprobamat!

odczuwałem przejściową ulgę. Był to, jak zapewne niejednym z czytelników domyśli się, miltown. Bardzo szybko stał się popularny i towarzyszyła mu wymowna fama. Potem pojawiła się w aptekach jedna polska wersja pod nazwą meprobamat. Meprobamat jest od dłuższego czasu produkowany w milionach pastylek i chętnie lykany. Stosowanie jego stało się tak szerokie, że zaczęto uświadamiać przed nadużywaniem. Wiara w mechaniczne skutki niejednego rozczarowała.

Te dzieje pastylek nasuwają mi więc analogię z pewnymi szerszymi zjawiskami w sposobie odbierania takich czy innych wartości kulturalnych.

Poprzestałmy przykładowo na niektórych kategoriach odbiorców programu radia i telewizji.

Nie chodzi mi w tym wypadku o martwienie się treściami, dostarczanymi przez radio i telewizję. Chodzi o technikę, jeśli tak można się wyrazić, obcowania z tymi cudownymi wynalazkami, o łatwe do zaobserwowania zjawisko „obżarstwa kulturalnego” (spróbujmy to tak nazwać)...

Właśnie już potoczna obserwacja dostarcza nazbyt wielu przykładów bezkrytycznego i wywołującego po prostu otepienie obcowania z programami radia i telewizji. Słuchanie wszystkiego i oglądanie wszystkiego „jak leci” eliminuje z tego obcowania wybór, a więc świadome przeżywanie.

Są mieszkania, w których radia właściwie nie wyłączają się. A więc w gruncie rzeczy odbiorca dostarcza jedynie pewnego rodzaju hałasu, w którym zlewa się ze sobą muzyka i słowo. Obcuje się z hałasem, nie zaś z poszczególnymi pozycjami programu (Czasem zresztą jest to po prostu zagłuszanie samego siebie).

To samo dzieje się w wypadku niektórych widzów. Siedzą lub leżą przed ekranem, słuchając i obserwując... Ulotnił się moment w obcowaniu ze zjawiskami kultury dość istotny, odznaczający odświętność, niepowседневność, przygotowanie swojej wrażliwości. Stałe zaabsorbowanie oczu i uszu wyklucza lub choćby tylko znacznie zmniejsza zaangażowanie emocjonalne i umysłowe.

W miarę dalszego doskonalenia się i upowszechniania sposobów przekazywania kultury, zjawisko to będzie nabierało coraz szerszego zasięgu.

Zawsze byłem zdania, iż dwa filmy obejrzone jednego wieczoru lub trzy koncerty usłyszane w ciągu jednego popołudnia — w rezultacie oszalałają, usypiają właśnie zdolności odbiorcze, wrażliwość, doprowadzają do otepienia.

Kiedys przeczytałem notatkę o tym, że mają się pojawić — lub może gdzieś się pojawiły, raczej to drugie — powieści, nagrane na płytach wolnoobrotowych. Człowiek położy się na kozetce, stojącej obok adapteru, i będzie sobie z przymkniętymi oczami słuchał „Wojny i pokoju” lub „Lalki” w wykonaniu utalentowanego lektora.

Co do mnie, bardzo dziękuję za taką wygodę! Każda kultura to wielki wysiłek wewnętrzny, to swoista przygoda z towarzyszącym jej ryzykiem, to ciągle naruszanie własnej, poprzedzającej przygodę duchową, struktury psychicznej. I należy, w miarę możliwości, unikać ułatwiania tych przygód, unikać zwłaszcza stwarzania pozorów przygód, sprowadzając wszystko do poziomu rozrywki lub — kiedy indziej — płaskiej agitki.

JAN HUSZCZA



# Madame Nu

„Jeśli zajdzie potrzeba, będę Joanną D'Arc wietnamu. A może raczej Marią Antoniną?”  
(fragment rozmowy Madame Nu z dziennikarzami)

Madame Nu ma lat — ponoc — około 38. Jest filigranowa, ruchliwa, chętnie się śmieje. Była kiedyś zawodową tancerką — łatwo to poznać po jej ruchach pełnych gracji. Uroda — dziś już przywiedla — uczyniła z niej partnerkę ludzi Wielkiej Polityki. I oto dość nieoczekiwanie dla wszystkich, to kobieciami stało się właściwym wielkorządząca południowego Wietnamu, państwa stworzonego po to, aby zahamować pochód ruchu narodowo-wyzwoleńczego w tej części Azji. Dziś rządzi ona tym krajem rękami swych marionetek — bezwolnych mężczyzn z rodziny Diem. Przedstawmy więc i pozostałych członków tej rodziny:

Oto senior, jego ekscelencja arcybiskup Hue — Ngo Din Tuc. Lat 66, nie-

z okolic Hue uczynił coś w rodzaju obozu koncentracyjnego i prototyp sławnych „wiósek strategicznych”. Wyjątkowy nawet jak na tę rodzinę okrutnik. Madame mawia o nim.

„Can jest nieobliczalny, jeśli chodzi o kobiety. Poza tym przelicza wszystko na brzęczącą monetę i ma dostatecznie twardą rękę. Takić nam trzeba!”

Ngo Din Luyen, „parszywa owca” rodziny, niegdyś dyplomata, dziś ledwie tolerowany ubogi krewny. „Madame to nie kobieta. To arcystrapa” — powiedział kiedyś w chwili szczerości brytyjskiemu dziennikarzowi.

Madame odważniejsza mu po dziś zawsze jednakową opinią:

„Luyen nie jest mężczyzną. To mięczak”.

Ngo Din Nu, lat 52, mąż



Madame Nu

tagon; rodzina Diemów, katolicka, a więc odseparowana od mas ludowych, nowobogacka i antykomunistyczna, to pewny sojusznik w walce z ruchem narodowo-wyzwoleńczym. Tak się zaczęła kariera tej rodziny.

Wróćmy jednak do naszej Madame. Jej główne miłości, jej zachłanność i korupcja, wreszcie jej dość dwuznaczne a intymne stosunki z zachodnimi dyplomatami — wszystko to uczyniło z przebiegłej i drapieżnej kobietki prawdziwy symbol zła jakie zapawało w sterroryzowanym kraju.

A Madame uważa się za powołaną do rządzenia niemal przez samego Boga — i chętnie się na ten temat wypowiada. Oto parę jej złotych myśli:

O papieżu Janie XXIII: „Biedaczek, chciał wszystkim dogodzić. Ale to się nigdy nie uda”.

O panu Bogu:

„Mogę liczyć na niego, bo zawsze wypełnia swoje ślubowania i daje jałmużnę”.

O mężczyznach: „Jeśli się nimi dobrze pokieruje, bywają całkiem mili”.

O mnichu, który popełnił samobójstwo na znak protestu przeciw reżimowi Diema.

„Mam nadzieję, że się dobrze wysmażył na importowanej benzynie”.

O buddystach: „Bieć ich! Bieć ich, trzy razy mocniej niż dotąd...”.

I wreszcie ostatnia już na dziś złota myśl Madame; na wieść o przybyciu do Sajgonu nowego ambasadora USA Cabot Lodge'a: „Słyszałam, że to człowiek, który korzy się tylko przed panem Bogiem. Myślę, że sobie porozmawiamy w trójkę: z Bogiem pośredku...”.

Czyż więc Madame nie zasłużyła sobie na wieczne zbawienie? B.

# Maestro tak chce i basta!

Dalszy ciąg ze str. 6

Sport o operę rozgorzał nie tylko na łamach „Udgiosów”. Na całym świecie toczą się nieprzebrzmiałe dyskusje również o Verdigo, który dla jednych, jako przedstawiciel „katarynkowej” muzyki, nie jest problemem godnym najmniejszej uwagi, podczas gdy dla innych stanowi cel odkrywanych wysiłków artystycznych i prób renesansu dzieła wielkiego mistrza.

Karjera muzyczna Giuseppe Verdigo (ur. w 1813 roku) syna szynkarza ze wsi Le Roncole, chłopca, w którym ojciec chciał z początku widzieć swego godnego następcę w prowadzeniu oberży, ma w sobie coś z elementów baśni. Piętnastoletni chłopak przy pomocy muzykalnych podaków kroczył zwycięsko od wydeptywania pedałów organowych w okolicznych kościołach do stacji mediolańskiego maestra Lavigni, żeby na początku swej kariery muzycznej wyładować na stanowisku dyrektora filharmonii w Busseto.

Pierwsza opera Giuseppe Verdigo „Oberto hrabia San Bonifacio” została wystawiona w mediolańskiej La Scali w 1839 r. po czym jak z rogu obfitości posypały się następne. W ciągu pół wieku napisał pracowity kompozytor 23 oper nie licząc utworów solowych, pieśni religijnych i innych kompozycji.

Jako ciekawostkę warto odnotować, że tematem drugiej opery pod tytułem „Dzień królowania” jest przygoda polskiego króla Stanisława Leszczyńskiego. Wystawione w mediolańskiej La Scali dzieło to zostało wygwizdane. Na usprawiedliwienie kompozytora trzeba powiedzieć, że Verdi pisał tę dwuaktową operę komediową zaraz po śmierci pierwszej żony. Nje dziwnego więc, że zabrakło twórcy inwencji.

Zzymamy się na płaskość i artystyczną lichotę libretta w operach Verdigo, i nie tylko Verdigo, Twórca „Rigoletta” sam ponosił winę za

ten stan rzeczy w swych melodramatach muzycznych, gdyż współpracującego z nim librecistę Franciszka Maria Plave traktował jako niewolniczego wykonawcę zmuszając go według swego widzimisie do zmian przeważnie niekorzystnych pod względem literackim. Plave ustępował mistrzowi godząc się na wszystko. „El maestro vol cussie basta!” czyli: Mistrz tak chce, i basta! — odpowiadał librecista na zarzuty osób, wytykających mu błędy i niedoręczności tekstu.

Za „pierwsze skonczone arcydzieło” (copolavoro assoluto) uznano „Rigoletto”, między innymi z powodu „doskonałości równowagi pomiędzy muzyką a dramatem”. Tego samego zdania był, zresztą, nasz znakomity kompozytor Karol Szymanowski, który w jednym z listów pisał: „Bardzo dużo słuchałem radia. Czasem świetne rzeczy. Onegdaj tak cudnego „Rigoletta” z Rzymu, że aż się wzruszyłem w IV akcie. Zresztą, uważałem to za arcydzieło Verdigo”.

Z kolei przychodzi w karierze kompozytora szereg zamówień z różnych stron Europy. Na zamówienie Peterburga pisze Verdi „Moc przez znaczenia”, dla Paryża tworzy „Don Carlosa”, dla Kairu — „Aida”.

Najbardziej chyba popularna „Aida” zdobyła wspaniałym bojem publiczność. Na premierze w La Scali kompozytor był wywoływany... trzydzieści dwa razy podczas spektaklu, z czego osiem razy — na końcu opery. Według włoskich zwyczajów uważane to było za tradycyjną miarę powodzenia.

Czy przeżywany dziś na całym świecie — jak twierdzi autor „Verdigo” Henryk Swolkień — „renesans” twórcy „Aidy” obejmie również Polskę? Sądzę, że najbliższe repertuary oper w Warszawie, Łodzi, Gdańsku, Poznaniu i Bytomiu przyniosą odpowiedź na to pytanie.

ARYSTARCH



„Bieć ich, bieć, trzy razy mocniej!”

ciekawa przeszłość z czasów kolonialnych, dziś jeden z najbogatszych ludzi Azji, fanatyczny i okrutny. To właśnie Tuc jest odpowiedzialny za rozpoczęcie krwawych represji wobec buddystów. Zresztą jego okrutny fanatyzm spowodował już dawno pewien konflikt z Watykanem, który takiego człowieka mimo starań kół wpływowych Paryża i sympatii Spellmana — nie może obdarzyć ani kapeluszem kardynalskim, ani nawet nuncjaturą w Sajgonie.

Madame, surowo osadzająca członków całej swej rodziny, nie wypowiada się o arcybiskupie Tuc. Jest na to zbyt gorliwą katoliczką. Następnym w hierarchii wieku — Ngo Din Can, lat 50, ukryty w cieniu wielkorządcy połowy kraju, właściwy organizator systemu policyjno-wojskowego, który

Madame. Doradca samego Diema, o którym nie musimy chyba pisać, rządzący ponad jego głową — ale zawsze zgodnie z dyrektywami Madame. To Nu stworzył aparat policyjny i kaźnię antykomunistycznego wywiadu. Oficjalnie jest on szefem Partii Pracy, o której „Time” pisał:

„Większość swego czasu 70 000 członków tej partii poświęca na pisanie donosów na sąsiadów”.

Nu ożenił się z Madame w roku 1943, jeszcze jako nie znaczący francuski urzędnik. Do tego czasu matka Madame była jego konkubina. Tak się zaczął ten dziwny związek; w następnych latach kolonializm francuski poniósł zupełną klęskę i wtedy Surete wpadła na pomysł, który następnie przechwycił Pen-

## JERZY NOWACKI

# Z doświadczeń lata

Trochę dziwnie wyglądały lizby lekcyjne: na ścianie tablice, stolik nauczyciela i kilka zaledwie ławek; w drugiej części klas leżaki ustawione tak, by w każdej chwili można było położyć się i oddychać świeżym, leśnym powietrzem wdzierającym się przez otwarte okna. Za oknami autentyczny, osnowy las. Duży, nowoczesny budynek szkolny, rozległy teren zielony, boiska sportowe, huśtawki, zjeżdżalnie, uroczą fontannę i wysoki maszt przed głównym wejściem, na którym powiewa polska, narodowa flaga.

W tej właśnie szkole, położonej w pięknym zakątku Łodzi, na Zdrowiu, przeprowadzono ciekawy eksperyment pedagogiczny, mający na celu poszukiwanie skutecznego sposobu zapobiegania drugoroczności.

Wakacyjna szkoła — taką roboczą nazwę nadano tej oryginalnej placówce, chociaż nazwa nie odpowiada dosłownie rzeczywistości, bowiem była to równocześnie półkolonia lub jak kto woli, wczasowy ośrodek.

Z chwila nadejścia wakacji każdego dnia o godzinie 8.15 rano, w równym szeregu przed masztami stawało na porannym apelu 90 dziewcząt i chłopców — uczniów klas V i VI różnych szkół polskiej dzielnicy. Przyjeżdżali z rodzinnych domów tramwajem, by spędzić letni dzień przyjemnie i... pożytecznie. I w tym tkwiła istota zagadnienia. Dziewczęta i chłopcy bezpośrednio po apelu udawali się do klas na normalne lekcje. Tyle, że przedmiotów nauczania nie było wiele, jedynie te, z których otrzymał młodzi ocenę niedostateczną. A więc jeden dwa przedmioty: język polski i matematykę. Inni tylko jeden przedmiot — język polski lub matematykę. Z tych to przed-

miotów macierzyste szkoły wyznaczyły im egzamina poprawkowe. Cóż, w końcu egzamin poprawkowy wyznaczało się uczniom i do tej pory, ale czy były realne możliwości przygotowania się do takiego egzaminu?

Turnus półkolonijny trwał tylko jeden miesiąc: przeznaczono w nim na zajęcia lekcyjne dla jednego przedmiotu równo 42 godziny.

Mimo, iż czasu na naukę było niewiele, to jednak poważną rolę odgrywały tu inne czynniki, których w calorocznej pracy szkolnej na ogół brak, a mianowicie:

— koncentracja ucznia wyłączenie na jednym lub dwóch przedmiotach,

— możliwość indywidualnej pracy z każdym uczniem przy małym liczebnych grupach (16—20 uczniów w grupie),

— możliwość przebywania nauczyciela — wychowawcy z grupą uczniów w ciągu całego dnia, a więc i podczas zajęć typowo kolonijnych, co daje dodatkowe szanse gruntowniejszego poznania dziecka,

— stosowanie przerw w czasie bardziej wyczerpujących zajęć lekcyjnych oraz możliwość krótkiego wypoczynku w pozycji leżącej (stad leżaki w klasach),

— intensywne oddziaływanie wychowawcze na dziecko, uświadamianie mu ważności uczenia się i możliwości uzyskania promocji do wyższej klasy,

— właściwe oddziaływanie dziecka i planowa organizacja jego dnia.

Już po kilku godzinach zajęć lekcyjnych nauczyciele — wychowawcy zorientowali się, jakie zasadnicze braki posiadają uczniowie. Zarówno w języku polskim, jak i w matematyce, dla pomysłowego opanowania ma-

teriału przewidzianego programem niezbędna jest umiejętność samodzielnego logicznego myślenia. Tej właśnie umiejętności nie posiadali „poprawkowicze”. W rezultacie tego występowały u nich poważne niedociągnięcia w gramatyce i ortografii oraz w rozwiązywaniu zadań matematycznych z zastosowaniem ułamków, procentów itp.

Rozpoczął się więc miesiąc wyjątkowej pracy. Nauczyciele-wychowawcy nie szczędzili sił, by wypełnić lukę w wiadomościach i umiejętnościach uczniów. Ich praca nie kończyła się po godzinach zajęć lekcyjnych. W dalszej części dnia trzeba było stworzyć dzieciom takie warunki, by w pełni zregenerowały się ich sily. A więc sport, wycieczki do lasu, leżakowanie po obiedzie, gry i zabawy na wolnym powietrzu, podwieczorek; i tak aż do godziny 17, kiedy to rozbrzmiewał sygnał na apel, po którym dziewczęta i chłopcy udawali się do domów. W domu nie trzeba było odrabiać lekcji. Ta forma pracy została w czasie wakacji wyeliminowana zupełnie. Trzeba było za to systematycznie przyjeżdżać do „wakacyjnej szkoły”.

Frekwencja była codziennie stu procentowa.

Rodzice zresztą dość często odwiedziali placówkę.

Właściwie cała działalność „wakacyjnej szkoły” nacechowana była wielkim optymizmem i wiarą w możliwości dziecka. Lipcowe upały nie osłabiły pracy. Trwała ona do ostatniego dnia turnusu, kiedy to odbył się sprawdzian wiadomości uczniów w oparciu o wyniki nauczania. Wyniki dowiodły, że wysiłek uczniów i nauczycieli nie poszedł na marne. Oto 86 dzieci, spośród 90 uczniów uczestniczących do „wakacyjnej szkoły” w pierwszym turnusie uzyskało pozytywną ocenę z przedmiotu, nad którym pracowano w ciągu 42 godzin.

Troje dzieci, które nie wyróżniały posiadanych braków, to uczniowie o bardzo dużych zaletach z klas młodszych. Ci, niestety, będą musieli powtarzać rok w tej samej klasie.

Należy pamiętać, że „wakacyjna szkoła” działała w obrę-

bie tylko jednej dzielnicy oraz, że jest to na razie eksperyment. Można jednak już dziś sądzić, że w okresie następnego wakacji podobne placówki zostaną uruchomione we wszystkich pięciu dzielnicach Łodzi. Obawa, że tego rodzaju forma pomagania dziecku w uzyskaniu promocji do wyższej klasy, może mieć wpływ demoralizujący, wydaje się płonna.

Korzyści wynikające z tego rocznego eksperymentu można mierzyć różnie: zarówno społecznie, jak i psychologicznie aspekt ważności zmniejszenia drugoroczności jest zupełnie oczywisty.

Nie wolno bagatelizować również momentu ekonomicznego, a więc korzyści materialnych, jakie uzyskuje rodzina dzięki wcześniejszemu zakończeniu przez dziecko szkoły oraz jakie uzyskuje budżet państwa.

Przyjmując, że roczne utrzymanie jednego dziecka w szkole podstawowej wynosi 1.600 zł, łatwo obliczyć, iż ratując od drugoroczności 180 dzieci, oszczędza się wcale nie bagatelnie sumę 288 tysięcy złotych. Wakacyjna szkoła w Łodzi oparta została na placówce wczasów w miesiącu.

W takiej sytuacji nie wchodzi w grę żadne dodatkowe koszty związane z zatrudnieniem nauczycieli, wyżywieniem dzieci czy też opłaceniem personelu pomocniczego. Należy jednak podkreślić fakt, że nauczyciele-wychowawcy, którzy podjęli się przeprowadzić eksperyment, zupełnie bezinteresownie prowadzą zajęcia lekcyjne mimo, iż ich koledy zatrudnieni w innych placówkach półkolonijnych pełnią obowiązki wyłącznie wychowawcze. Należą im się za to słowa uznania.

Próba ta na pewno spotka się z uznaniem łódzkiego nauczycielstwa i rodziców. Wszystkim bowiem leży na sercu dobro dziecka.



„Z komunistami sobie jakoś poradzimy”...



## Ucieczki z Łodzi

Jak się dowiadujemy, wielki zjazd gwiazd muzyki lekkiej z okazji Festiwalu Piosenki w Sopocie dał już pierwsze wyniki.

Największe zainteresowanie obserwatorów zagranicznych wzbudziła Ewa Demarczyk z krakowskiej „Pławni pod Baranami”, która występować będzie w Belgii, Szwajcarii, a także w największym paryskim music-halu — „Olympii”. Dyrektor „Olympii” podpisał także z PAGRTEM wstępne porozumienie na występy w tym music-halu oraz na tournée po Francji zespołu twisto-wego z sopockiego „Non-stopu”, „Niebiesko-Czarnych” z solistami — Michałem Burano i Katarzyną Bovery.

Kierownikiem tego zespołu jest łodzianin Włodzimierz Wander. Przy okazji: w ostatnich czasach opuściło nasze miasto wielu utalentowanych muzyków jazzowych i rozrywkowych, którzy zrobili błyskawiczną karierę w Warszawie, Gdańsku czy na Śląsku. Śladem weterana polskiego jazzu, Jerzego Matuszkiewicza, poszli: klawirzysta Zbigniew Wojciechowski (obecnie kierownik jednego z najlepszych zespołów jazzowych „Brodacze”), saksofonista M. Urbanik, perkusista J. Płaszczyk, pianista J. Glugowski. Nie znalazła się niestety, w Łodzi ani jedna instytucja (Radio? Telewizja? Estrada?), która by zapewniła tym wszystkim uciekinierom odpowiednie warunki rozwoju, więc sobie poszli i znowu Łódź nie ma ani jednego słabszego zespołu muzycznego. Czy już wobec tego nie będziemy mieli w Łodzi talentów? To się okaże dopiero podczas następnej „emigracji”.

MAW

## Meloman i prowincja

Długo, bo prawie pół roku musieli czekać łodzcy melomani na szumnie reklamowane płyty zagraniczne. Reklama była już w styczniu — płyty przyszły pod koniec sierpnia. Dobrze, że w ogóle przyszły — bo są naprawdę dobre i wyjątkowo niedrogie (cena waha się od 21 70 do 21 200, podczas kiedy prywatnie za takie płyty płacono się i 400 zł).

Jaką popularnością cieszy się ta nagrania można było stwierdzić, obserwując prawdziwe obłędne sklepowe, które je rozprowadzają. Niewiele było jednak szczęśliwców mogących je kupić. Zamiały zamawianych setek egzemplarzy przysłano — rzecz niebagatelna — po 4 i 5 sztuk. Podobno nie pierwszy to już raz Centrala Warszawską płała i takie psikusy. Jak twierdzą — bowiem wstąpieni na teren w stolicy było tych płyt pod dostatkiem i w o wiele większym wyborze. Coż, biedny jest los prowincjonalnego melomana.

LW



## Myszy króla Popiela

Jak wiadomo — Popiel, to Popiel. Oczywiście nie ten przedwojenny Popiel, a ten, który był niegdyś księciem Polan, którego (jak twierdza nasi dziejopisowcy) miały zjeść myszy (co sobie, po swoim przetrzymaniu w Kraszewsku) i ten, który był (jak dotychczas) złotym tematem literackim. Najnowsze badania naukowe wyjaśniły na czym polegała śmierć tego księcia. Lubili sobie nasz książę gęsto popijać (dobry, sfermentowany miodek), wprawiała go w tym uroczą żonczka (jak wiadomo, z rodu germańskiego), doszedł wreszcie książę do tego stanu, w którym czło- wiek ma przed oczami biegające myszki — no i stał się smierć, pogrzeb i niesławna legenda.

Co podaje do publicznej wiadomości i adresuje przede wszystkim do powieściopisarzy, którzy by chcieli zająć się tym tematem. Adresują także do wszystkich współczesnych naśladowców księcia Popiela, którzy jak on, lubią nadmierne 0w plyn lżejszy od wody o swoistym zapachu, który otrzymuje się zwykle przy fermentacji cukru, maki, ziemniaków itp. — i lojalnie ostrzegam, że jak dotychczas legendy otaczają pamięć postaci książąt i królów — bohaterowie podjęszej „kondycji” notowani są (na wieczną rzecz pamięć) w kronikach i zb. wytrzeźwień.

Co powiedziawszy, kłaniam się wszystkim żonom.

# odgłosy TYGODNIA

Jeszcze w sprawie „REKLAMY i ANTYREKLAMY”

## Do redakcji „Odgłosów”

Szanowny Panie

Redaktorze!

Z uczuciem głębokiego smutku przeczytałem artykuł red. Zbigniewa Nienackiego pt. „Reklama i antyreklama” w nr 33 Jego, mimo wszystko, sympatycznych „Odgłosów”.

Rozumiem rozgoryczenie Autora, który szukając potrzebnej Mu części do „Syreny” nie może jej znaleźć w naszym sklepie; rozumiem, że poniosły Go przysłowiowe „nerwy”. Ale, żeby tak zaraz huzia i te rzeczy... To chyba trochę przesada i nieładnie. Ale coż my, handlowcy możemy poradzić? Trudno, prasa. Im wydrukują. Nam nie, choć-



by i racja była po naszej stronie. Siad mój smutek, Panie Redaktorze.

Ale, żeby choć za karę zabrać Panu Redaktorowi te pięć minut czasu, pozwolę sobie — w myśl zasady „audiat-ur et altera pars” — parę rzeczy wyjaśnić.

Zaopatrzenie w części do samochodu „Syrena” przedstawia się rzeczywiście nie najlepiej i jak na krajową markę, trochę to nie wypada. Rzecz w tym, że to nie żwaw- sze wina „Motozbytu”, jak to niektórym posiadaczom samochodów się wydaje. Obok niewątpliwych naszych niedociągnięć — choć i te nie zawsze powodowane są jakimś „zbaraniem” kierownictwa, jak to niedwuznacznie z artykułu wynika, bo przecież branza jest wyjątkowo trudna, brak nam fachowców, mamy trudności etatowe, placowe, inwestycyjne i szereg, szereg innych — wina za braki części leży z reguły po stronie przemysłu. Na całym świecie tak jest, iż wytwórca samochodu dba, aby w handlu były części do „jego” wozu. Bo przecież handlowiec, to przedstawiciel wytwórcy. Ba, na całym świecie tak może być — u nas nie. PZO nie tylko że nie wywołuje się z dostaw, ale nie chciał nawet podpisać umowy o przedstawicielstwie. Bo i po co, żeby zaraz wszyscy wiedzieli, że to oni mają dostarczać części? Jest „Motozbyt”, niech jego „leja”.

Jeśli brak części do samochodów — to nie potrzeba się nawet pytać i zastanawiać — nawet kioskarsz na rogu wie, że to z całą pewnością wina „Motozbytu”.

Oburzył red. Nienackiego nasz nowy otwarty salon motocyklowy przy ul. Piotrkowskiej 155 i gromkim głosem pyta: „I po co? I na co?”. Żeby sprzedawać motocykle, skutery i mopedy, Panie Redaktorze! Żeby sprzedawać te motocykle, których obok importu, nasz przemysł produkuje rocznie ok. 150 tys. sztuk, i które będzie w takiej ilości w dalszym ciągu produkować, a które sprzedaje się coraz trudniej. A więc daleko elegancki salon, pojazdy ładnie podane, rejestracja i ubezpieczenie na miejscu. Żeby zachęcić klienta i namówić go do kupna, zgodnie chyba z kupiecką zasadą. Mogę zrozumieć „clagotki” Szanownego Autora artykułu do owoców i warzyw, bo może akurat lubi pomarańcze lub pietruszkę (choć i tu zapytana o zdanie pierwsza, lepsza gospodyni, szukająca na próżno w sklepach warzywno-owocowych np. arbuza dla dzieci lub cebuli do zupy byłaby z całą pewnością innego zdania), ale skąd u Niego, Panie Redaktorze, taka miłość do restauracji? Hm, hm...

Ale żarty na bok. Ze swej strony z całą odpowiedzialnością mogę zapewnić red. N., że części, które sprzedają nasze sklepy w ciągu miesiąca prywatnym klientom, a więc części niewątpliwie potrzebnych, no i które są, nie tylko nie zmieściłyby w „kilku drewnianych budkach na ryferiach”, ale i w wielkiej

kamienicy, w której mieszka. Mając taki pogląd na zagadnienie i uprawiając taką sugestywną propagandę działa z całą pewnością i na własną niekorzyść, jako posiadacz samochodu. Braki bowiem detalicznych artykułów pogłębiają się jeszcze z powodu braku powierzchni składowania.

Ilość sklepów motoryzacyjnych na terenie miasta Łodzi, w których możemy sprzedawac zaopatrzenie do wszystkich występujących u nas marek „typowych” pojazdów, uważamy w dalszym ciągu za niewystarczającą i robimy wszystko, aby tę ilość zwiększyć. Aby móc np. „Syręnę” sprzedawać w dwóch sklepach, aby i te części dostępne dla klientów nie stawały się nieosiągalne w okresie np. remanentów, które — niestety — musimy przeprowadzać, i nawet z tej, stosunkowo dużej ilości sklepów, równej Warszawie — przyznam się Panu Redaktorowi, po cichu — byłem trochę dumny. Bo Poznań ma cztery sklepy „Motozbytu”, a Kraków, jeden, a pojazdów nie mniej niż w Łodzi. A tu nasz — po co im sklepy?...

Żeby zmienić styl pracy personelu sklepu przy ul. Północnej 11 (który — nawiasem mówiąc — od początku istnienia sklepu został już trzykrotnie wymieniony), będę z nim rozmawiał osobiście. Miejmy nadzieję, że pomoże.

Od stycznia 1964 r., części do samochodu „Syrena”, rozprowadzane do tej pory przez jedyną hurtownię w Warsza-



wie na cały kraj, będą prowadzone na szczeblu hurtu dla południowej Polski również u nas w Łodzi. Niewątpliwie poprawi to w pewnym stopniu zaopatrzenie w części tej marki.

I to już chyba byłoby wszystko. Na zakończenie, poza ukłonem dla Pana Redaktora za cierpliwie doczytanie tego przydługiego nieco listu do kofta, chciałbym Go zapewnić, iż kierownictwo naszego przedsiębiorstwa robi naprawdę de wszystko, aby w miarę swych skromnych możliwości zaspokoić życzenia naszych klientów. Dla red. Nienackiego proszę przekazać podziękowanie za ciepłe słowa „nasz kochany Łódźki „Motozbyt” na początku „naszej” części artykułu.

Łącząc wyrazy należnego Szanownemu Panu Redaktorowi szacunku, pozostaję z poważaniem

mgr Zb. PIEKUT

## Estetyka i rozsądek

Wyobraźmy sobie, że przeciętny obywatel zechce raz, z okazji wielkiej rocznicy, urządzić zaproszonym gościom Delikatesów, przelicza nerwowo pieniądze i prosi o butelkę szampana. Kupuje ów szampan i w kulminacyjnym momencie uroczystości otwiera. I cóż się okazuje — korek nie tylko, że z fasonem nie strzela, ale szampan jest zwykłą lura wprost nie do wypicia. Goście markotnieją, zaczynają się — zastanawiać i dochodzą do następujących wniosków: dobrze się stało, że zlikwidowano wreszcie wystawy-klitki, że zaproszono do współpracy plastyków i wystawy są bardziej estetyczne

## SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



## Teresa KAŁUDA

Aktorka młodego pokolenia — absolwentka łódzkiej PWSTiF — debiutowała na scenie Teatru 7.15 w sztuce „Dziewczeta z fotografii”. Następnie przeniosła się do Teatru Powszechnego tworząc tu cały szereg ciekawych, bardzo zróżnicowanych ról, przy czym — rzecz szczególnie — obsadzano ją zazwyczaj we współczesnych „sztukach obyczajowych” („Pokój pełen dymu” Obidniaka), „Z nadmiaru miłości” Klimenta i in., w których klimacie czuje się wyjątkowo dobrze. Jedną z wybitniejszych ról Teresy Kałudy była Ewa w „Kwiatach łódzkich” Sowińskiej. Obecnie oglądać ją możemy w „Jaśnie Pan Nikt” Lope de Vegi.

Tekst i zdjęcie: GERARD PUCIATO

## Nareszcie coś się dzieje

Kombinat restauracyjno-kawiarniany „Barkares” położony w pięknej okolicy parku i Maja nie cieszył się do tej pory dobrą sławą. Zławsza w kawiarni burdy i rozróbki młodocianych awanturników były na porządku dziennym. Personel i milicja mieli pełne ręce roboty.

Okres ten — jak wskazują wszelkie oznaki — należeć będzie wkrótce do zamierzonej przeszłości. Z cenną inicjatywą wystąpił bowiem — rzecz w Łodzi chyba bez precedensu — sami bywalcy kawiarni. Podjęli szlachetną próbę przywrócenia jej dobrego imienia. Któregoś dnia postanowiono utworzyć radę kawiarnianą złożoną ze stałych bywalców kawiarni. Rada czuwać ma nad spokojem i porządkiem lokalu.

Ze eksperymentu się uda! Świadczą już pierwsze sukcesy rady. W kawiarni jest o wiele spokojniej — awanturników po prostu wyrzucą się za drzwi, a wszelkie drobne incydenty wkracają nstychmiast członkowie rady. Na wieczorki i dąsingi przyjeżdżają teraz do „Barkaresu” nawet miłośnicy tańca ze śródmieścia. Oby więcej takich inicjatyw ze strony bywalców łódzkich kawiarni.

LW

Czy konieczne trzeba marnować kilkanaście butelek nie- tanych wcale napojów na dekorowanie wystaw i nie narazić szarego obywatela na tak nieprzyjemne niespodzianki?

LW



Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 88. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 6; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamawia rekwizytów, nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch” — z zastrzeżeniem: na „Odgłosy”. Druk: RSW „Prasa”, Łódź, Zwirki 17. Zam. 2650 IX 63. K-4

## ANEGDOTY



do druku podał 50 Czerwinski

MARIA PRZYBYŁKO-POTOCKA

Oto jak Adam Grzymala-Siedlecki opisuje anegdotę związaną z pierwszymi krokami Przybyłko-Potockiej na scenie prowincjonalnej.

„Miejsce akcji — Radom, więc teatr z nieodłącznym w owych 90 latach jęzosem Kozikiem, rekwizytorem, rozlepaczem afiszów, meblarzem, właścicielem lokalnej garderoby teatralnej i jednoosobowym biurom propagandy. Młodzianka debiutantka miała wejść na scenę z jakimś obfitym kompletem paczuszek. I widocznie wiele sobie po efekcie tych paczuszek obiecywała, bo w czasie prób raz po raz do Kozika: „Niech pan nie zapomni o moich paczuskach”. Na to zrównoważony mał opatrnościowy radomskiej Melpomeny odpowiadał zapewnieniem: „Będą paczuski, na pewno będą”. Przygotował je istotnie i gdy już doszło do przedstawienia, położył je na krześle przy drzwiach, którymi Przybyłko miała wejść na scenę. Drżąc, rozdrgotana ze strachu, stanęła przy tych drzwiach, wpadła na scenę i... zapomniała wziąć ze sobą paczuski. Stojący nie opodal Kozik tylko pokiwiał filozoficznie głową i podsumował sprawę: „Pacuski, pacuski! Panie Kozik, niech pan nie zapomni o pacuskach, a jak przyszło co do czego, to krowienta zapomniała o pacuskach”.